

INICJATYWA I TOR PRZESZKÓD **5** ZNP W PIERWSZYCH LATACH POLSKI
 LUDOWEJ **8** O BOHATERSKIM NAUCZYCIELU - RELACJA **9**
 ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W NASZEJ ANKIECIE **10**



GŁOS NAUCZYCIELSKI 15

15 IV 79

ROK LXII • TYGODNIK SPOŁECZNO-OŚWIATOWY • CENA 2 ŻŁ



RODZICE I DZIECI

HANNA POLSAKIEWICZ

Jedno można stwierdzić niemal jako pewnik: w każdym pokoleniu rodzice popełniają jakieś ogólnie powtarzające się błędy wychowawcze - mądrzejsi się stają dopiero po szkole. Zawsze też „nauczycielski stan” ma pewną szansę powstrzymywania ich przed potknięciami, nie zawsze jednak w pełni ją wykorzystuje. Więc ze względu choćby tylko na możliwości zmniejszenia zakresu tego niekorzystnego zjawiska - warto zastanowić się, jakie - choć w przybliżeniu - jest współczesne pokolenie najmłodszych matek i ojców, co - generalnie rzecz traktując - w ich postępowaniu z dziećmi jest dobre, co natomiast może niepokoić.

Zaznaczyć jednak muszę, że, jak dotychczas, dysponujemy tylko sygnałami z badań nad najmłodszym pokoleniem rodziców. Badań zresztą nielicznych i będących na ogół dopiero w toku. Tak więc w rozważaniach oprzeć się trzeba będzie przede wszystkim na ogólnie dostępnych obserwacjach, a także na opiniach znawców przedmiotu. Sądzę, iż najwięcej obserwacji, a także interesujących danych dostarcza porównanie dwóch różnych pokoleń: tego pokolenia, które weszło w rolę rodzicielską po wyzwoleniu i tego najmłodszego, którego dzieci trafiają dziś, lub trafią jutro, do przedszkoli lub klas początkowych. Przyczyną ze względu na wspomniane trudności, pod uwagę wziąć trzeba głównie środowisko miejskie.



Fot. CAF

UDANYCH FERII WIOSENNYCH
 I WESOŁYCH ŚWIĄT!

KTO NASTĘPNY PO BYDGOSZCZY?

Kuratora, dra Władysława Przybylskiego trudno zastać za biurkiem. Łapię go na spotkaniu ze studentami ostatniego roku w bydgoskiej WSP.

— Od razu mogę zatrudnić was wszystkich, jak tu siedzicie, ale większość na wsi — mówi do pięciuset prawie już nauczycieli.

Ma ich pozyskać, zachęcić do pracy na swoim terenie. Ale jak i czym? Na sali są zresztą przedstawiciele trzech innych, sąsiednich województw — pilskiego, kujawskiego i toruńskiego. W sumie mogą zatrudnić dwa, trzy razy tyle absolwentów. Są też na sali dyrektorzy szkół gminnych, którzy na pniu będą chcieli ubić interes. Niektórzy mają po kilka wolnych etatów, a każdy z pracodawców dobrze wie, jakie będzie pierwsze pytanie młodych ludzi.

— Niestety, wielu z was — mówi kurator Przybylski — będzie musiało na razie zamieszkać w lokalach wynajętych u rolników, a część w mieszkaniach służbo-

wych poza miejscem pracy, co wiązać się będzie z dojazdami.

Szef bydgoskiej oświaty był jednak na tym spotkaniu w dużo lepszej sytuacji niż jego koledzy z innych województw. Mógł już bowiem złożyć optymistyczną obietnicę, po raz pierwszy zresztą tego rodzaju — i to nie na wodzie pisanej — że każdy absolwent zatrudniony na terenie gminy otrzyma w ciągu kilku najbliższych lat — a pierwszy już w przyszłym roku — nowe, piękne, samodzielne mieszkanie.

Rzecz bez precedensu w kraju! Bydgoszczanie znaleźli sposób na całkowite uporanie się z problemem mieszkań dla nauczycieli szkół gminnych i to poprzez budownictwo spółdzielcze, które tak trudno ściągnąć na wieś. Jest to inicjatywa ludzi oświaty.



DALSZY ROZWÓJ WSPÓŁPRACY

W ostatnich dniach marca odbyło się w Moskwie 89 posiedzenie Komitetu Wykonawczego RWPG. Wzięli w nim udział przedstawiciele dziesięciu krajów członkowskich w Komitecie Wykonawczym oraz delegat Jugosławii. Polskę reprezentował wicepremier Kazimierz Secomski.

Wyniki posiedzenia są owocne. Między innymi podpisane zostało porozumienie o współpracy zainteresowanych krajów członkowskich w budowie chmielniczej elektrowni atomowej na terytorium ZSRR oraz porozumienie o współpracy w budowie i użytkowaniu energetycznej linii przesyłowej o napięciu 750 kilowoltów z chmielniczej elektrowni atomowej do Rzeszowa oraz podstacji w Rzeszowie. Otrzymały więc od 1984 roku solidny „zastrzyk” energetyczny — 6 miliardów kilowatogodzin rocznie — który przeznaczony będzie szczególnie dla południowo-wschodnich regionów naszego kraju, dla powstającego tu przemysłu, kopalń węgla kamiennego i brunatnego.

Przy okazji tego porozumienia warto przypomnieć, że już w 1977 roku podpisane zostało porozumienie o współpracy i rozwoju zjednoczonego systemu elektro-energetycznego krajów RWPG do 1990 roku. Dokument ten przewidywał, oprócz budowy chmielniczej elektrowni atomowej, linii przesyłowej, i inne działania, w celu bardziej efektywnego wykorzystania zasobów energetycznych i podniesienia technicznych i ekonomicznych możliwości równoległej pracy systemów elektro-energetycznych, również rozwój energetyki atomowej. Sprawy te są niezwykle doniosłe, wiążą się ściśle z aktualnymi i perspektywicznymi planami rozwoju naszych socjalistycznych krajów. Odegrają istotną rolę w rozwiązywaniu strategicznych problemów społeczno-gospodarczych krajów RWPG.

Dziś kraje wchodzące w skład RWPG stanowią w świecie istotną, ważną potęgę ekonomiczną i przemysłową. W krajach tych wytworzono np. w roku ubiegłym 350 tys. nowoczesnych obrabiarek do skrawania metali, 759 tys. traktorów, 902 tys. samochodów ciężarowych i ponad 2 mln samochodów osobowych. Poglębia się specjalizacja naszych krajów oraz kooperacja produkcji, obejmująca ponad 8 tys. wyrobów. W sferze współpracy naukowo-technicznej bierze udział 2220 wspólnych organizacji naukowo-badawczych i projektowo-konstrukcyjnych. W tej współpracy pierwsze miejsce zajmują problemy paliwowo-surowcowe i transportowe.

Rozwój specjalizacji i kooperacji produkcji oparty jest w krajach RWPG na bilansie zasobów siły roboczej, jej strukturze zawodowej i kwalifikacyjnej. W ten sposób jest możliwe coraz racjonalniejsze i efektywniejsze wykorzystanie zasobów ludzkich. Znaną są przykłady wymiany siły roboczej między Polską a Czechosłowacją, Polską a NRD, Węgrami a Czechosłowacją itp. Nasze kraje świadczą sobie nawzajem różnego typu usługi budowlane. Przedsiębiorstwa polskie zbudowały wiele zakładów pracy, na przykład w NRD — kopalnię soli potasowych w Zielitz, rurociąg Schwedt-Rostock, gazociąg — Magdeburg-Salzwedel, odlewnię w Lipsku, obiekty chemiczne w Ebersbach, cementownię w Karsdorf itp. Podobnie jest również w innych krajach. Tempo wspólnych budów jest wspaniałe. Przykład — budowa rurociągu orenburskiego.

Dynamicznie rozwijające się kraje socjalistyczne, podejmując wspólne zadania, prowadząc szeroką współpracę i kooperację w ramach RWPG, przyspieszają swój rozwój, a tym samym dobrobyt ludzi pracy. (ZP)

Pełnią funkcje prezesów, sekretarzy w radach zakładowych i oddziałowych, w ogniskach ZNP. Działają przeważnie w trudnych warunkach, w rozproszeniu, bezpośrednio przy warsztacie pracy tych, którzy obdarzyli ich mandatem zaufania. Po przyjęciu funkcji programują kierunki działania, układają plany pracy swego ognia w dziedzinie ideowo-pedagogicznej, socjalno-bytowej, kulturalno-oświatowej. Jednym słowem, plan działania Związku w skali mikro.

Ta skala mikro, nie oznacza przecież wcale mniejszej rangi problemów i spraw, mniejszej odpowiedzialności. Bo tam, bezpośrednio przy warsztacie pracy, liczą się przede wszystkim fakty. Nie liczba narad, choć te są bardzo potrzebne jako forma więzi związkowej, forum wymiany myśli, uwag, przekazywania informacji czy zwyczajnie życia towarzyskiego. I nie liczba uroczystych spotkań, lecz właśnie konkrety. A ściślej załatwianie ludzkich spraw. I tych bardziej zasadniczych, i tych pozornie drobnych, nieefektywnych, lecz niezwykle istotnych.

Więc liczy się dobre rozeznanie i współdziałanie z władzami we wszystkich sprawach dotyczących szkoły i nauczyciela. Ale też liczy się, czy koleżanka „x” otrzymała mieszkanie, czy kolega „y” umożliwiono korzystanie ze stołówki szkolnej, czy koleżanka „z” dostała wczasy, czy kolega „a” nie ma zbyt dużo „okienek”. I liczy się, czy młodziutka nauczycielka nie czuje się już tak samotna, jak w pierwszych dniach,

NASZYM ZDANIEM

MANDAT ZAUFAANIA

czy koleżanka emerytka otoczona jest serdeczną opieką. I czy udało się zapobiec narastającemu właśnie konfliktowi w gronie, czy kolega „c” nie został skrzywdzony jakąś decyzją dyrekcji. Listę można by ciągnąć, jest bogata jak samo życie.

Powie ktoś, więc prezes czy sekretarz organizacji związkowej musiałby być dysponentem dóbr wszelakich i tym, który o wszystkim decyduje. Tymczasem nie jest władzą, jest po prostu działaczem związkowym. I to najczęściej łączącym pracę społeczną z zawodową.

Właśnie działaczem. Więc wprowadzić nie przydzieli mieszkania, ale będzie o nie zabiegał aż do skutku, nie rozmnoży liczby wczasów, ale zadecyduje o ich sprawiedliwym podziale, nie będzie biernie przyglądał się narastającym w zespole konfliktom, powie weto, jeśli decyzja dyrekcji okaże się niesłuszną. I

będzie umiał wciągnąć do tego działania innych członków organizacji związkowej, którzy wesprą jego poczynania. Czy nie są to zbyt duże oczekiwania? Ilekroć energia i konsekwencja, aby pracując zawodowo, dobrze znać i w porę, skutecznie reagować na wszystkie potrzeby środowiska, które się reprezentuje. Ile czasu trzeba poświęcić, aby posłać wiedzę choćby z zakresu przepisów prawnych po to, by skutecznie służyć radą członkom Związku. Ilekroć wrodzonej życzliwości wobec ludzi, by zawsze, gdy zajdzie potrzeba, przychodzić im z pomocą. Ilekroć wreszcie — powiedzmy sobie szczerze — trzeba nie raz odważyć się bronić słusznych racji wobec miejscowych władz, dyrekcji szkoły, której się jest pracownikiem.

Ale przecież bez tych właśnie cech — energii i konsekwencji, życzliwości i taktu, wiedzy i odwagi — nie ma skutecznego działania związkowego. Bez nich działanie zmienia się w pozory, sprowadza się do pełnienia wyłącznie reprezentacyjnej roli. A chodzi przecież o autentyczne, rzetelne reprezentowanie tych, którzy powierzyli działaczowi rzecz niesłychanie cenną: mandat swojego zaufania. Z tego jednak aktywista związkowy jest przez swych wyborców rozliczany. A że życie jego nie bywa usłane różami? Cóż, być działaczem związkowym to duża satysfakcja, ale przede wszystkim wielka odpowiedzialność. Czy codzienna praktyka potwierdza powszechność takiej właśnie postawy?

Z ŻYCIA ORGANIZACJI ZWIĄZKOWEJ

W dziesiątą rocznicę śmierci prof. dra hab. Zenona Klemensiewicza Związek Nauczycielstwa Polskiego, Komitet Językoznawstwa PAN, Uniwersytet Jagielloński, Polskie Towarzystwo Językoznawcze zorganizowały w Krakowie uroczystą sesję dla upamiętnienia dzieła Profesora, jako wiceprezesa Zarządu Głównego ZNP, wybitnego uczonego i nauczyciela nauczycieli. Sesja zgromadziła grono uczonych, współpracowników i uczniów Profesora, ludzi związanych z Nim na wielu płaszczyznach jego bogatej i owocnej działalności. Uczestniczyli w niej również prezes i wiceprezesi ZG ZNP oraz Zarząd Sekcji Nauki ZNP.

Na temat Profesora i jego dorobku mówili m.in.: dr B. Grześ, prof. dr hab. W. Krenicki, prof. dr hab. Z. Kurz, prof. dr hab. Cz. Madajczyk, prof. dr hab. M. Miśkiewicz, doc. dr hab. W. Pisarek, prof. dr hab. F. Sławski, prof. dr hab. M. Szymczak.

Na grobie uczonego delega-

cja ZNP złożyła kwiaty. Informację na temat sesji znajdują Czytelnicy w jednym z najbliższych numerów „Głosu Nauczycielskiego”.

Pierwszy konkurs o tematyce związanej z warunkami pracy i nauki w szkołach zawodowych, posiadających warsztaty typu „C” zorganizowany został przez Zarząd Główny ZNP w roku szkolnym 1964/65 jako jednorazowa akcja zderzająca narastającą liczbą wypadków na terenie szkoły. Pomysł okazał się niezwykle trafny. Do jego realizacji przyłączyło się Ministerstwo Oświaty, Centrala PZU oraz redakcja miesięcznika „Szkoła Zawodowa”. Powodzenie pierwszej edycji zachęciło organizatorów do kontynuowania przedsięwzięcia, a potem stało się już ono potrzebne i oczekiwane przez szkoły. Co roku wzrastała liczba uczestników i zwolenników konkursu, podobnie jak jego efekty, potęgowane sumowaniem się wieloletniego wysiłku. Konkurs służy bowiem poprawie warunków pracy i nauki nauczycieli i uczniów.

24 marca odbyło się w Zespole Szkół Chemicznych w Toruniu uroczyste zakończenie dziesiątej już edycji konkursu. Zwycięskim szkołom

wręczono nagrody i wyróżnienia.

Nagrody specjalne za wieloletni wybitny udział w konkursie otrzymały: Zespół Szkół Mechanicznych nr 2 w Bydgoszczy; Zespół Szkół Zawodowych w Czarnkowie; Zespół Szkół Zawodowych we Wrzesznie; Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Siedlcach; Technikum Mechaniczno-Energetyczne w Szczecinie; Zespół Szkół Budownictwa w Sandomierzu; Zespół Szkół Budowlanych w Legnicy; Zespół Szkół Mechaniczno-Elektrycznych we Wrocławiu.

I nagrodę w edycji 1978/79 otrzymał Zespół Szkół Chemicznych w Toruniu. II nagrodę — Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Ostrzeszowie; Zespół Szkół Zawodowych w Mielnie; Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Piotrkowie Trybunalskim; Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Oleśnicy. III nagroda przypadła: Zespołowi Szkół Zawodowych w Puławach; Zespołowi Szkół Rzemiosł Artystycznych w Jeleniej Górze; Zespołowi Szkół Górniczych w Lublinie; Zespołowi Szkół Łączności w Poznaniu; Zespołowi Szkół Elektrycznych nr 1 w Warszawie; Zespołowi Szkół Mechanicznych we Wrocławiu. Przyznano również 25 wyróżnień.

Ogółem w konkursie startowało blisko 400 szkół.

Wyróżniających się nauczycieli udekorowano Złotymi Odznakami ZNP, Medałami Komisji Edukacji Narodowej i odznakami Zasłużony dla Ochrony Pracy.

W uroczystości udział wzięli przedstawiciele wojewódzkich i miejskich władz partyjnych, administracyjnych i związkowych. Zarząd Główny ZNP reprezentowała sekretarz Aniela Biernacka.

2 kwietnia 1979 roku odbyło się w Zarządzie Głównym ZNP posiedzenie plenarne Sekcji Bibliotekarskiej. Tematem obrad, w których uczestniczył sekretarz Zarządu Głównego ZNP, kol. Tadeusz Suberlak, była rola bibliotek w rozwoju postępu pedagogicznego w szkołach i placówkach oświatowych oraz wykorzystanie w tym zakresie informacji naukowej prowadzonej przez biblioteki szkolne i pedagogiczne. Po zakończeniu posiedzenia plenarnego, członkowie Prezydium Sekcji przyjęli rezolucję kol. Jadwigi Tatjewskiej z funkcji przewodniczącej oraz powierzyli to stanowisko kol. Janowi Ziemiukowi, dyrektorowi Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Białymstoku, członkowi Państwowej Rady Bibliotecznej.

Z PRAC MINISTERSTWA NAUKI, SZKOLNICTWA WYŻSZEGO I TECHNIKI

zacji programów priorytetowych. Omówiono również zagadnienia związane z rozwojem kadr naukowych oraz przygotowaniem uczelni do określenia ich specjalizacji naukowej. W obradach uczestniczyli: kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — prof. Jarema Maciszewski oraz minister NSZWiT — prof. Janusz Górski.

5 marca bieżącego roku w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy toczyła się narada rektorów i sekretarzy komitetów uczelnianych wyższych szkół pedagogicznych. Referat wprowadzający — wygłosił wiceminister NSZWiT — prof. Stanisław Czajka. Dy-

kusja ogniskowała się wokół spraw jakości i efektywności kształcenia nauczycieli. Omawiano również sprawy wzmocnienia działalności wychowawczej, zwłaszcza kształtowania silniejszych więzi studentów z zawodem nauczycielskim. Poruszano także sprawy podnoszenia kwalifikacji i aktualizacji wiedzy czynnych nauczycieli na studiach podyplomowych. Wiele uwagi poświęcono sytuacji w zakresie kadry naukowej i perspektywom uzupełnienia niedoborów. W naradzie uczestniczył zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Andrzej Bartnicki.

Rektorzy i sekretarze komitetów uczelnianych wyższych szkół technicznych obradowali 12 marca bieżącego roku w Politechnice Wrocławskiej. Referat wprowadzający wygłosił wiceminister NSZWiT — prof. Tomasz Biernacki. W trakcie obrad szczególną uwagę zwrócono na kwestie współ-

pracy uczelni technicznych z przemysłem i gospodarką narodową, jak również na perspektywy rozwoju nowych form studiów w oparciu o bazę zaplecza naukowo-badawczego placówek PAN, a także przodujących zakładów przemysłowych. Przedyskutowano również kwestie związane z przygotowaniem w uczelniach technicznych planów badań naukowych na następną pięcioletkę. W naradzie wzięli udział minister NSZWiT — prof. J. Górski oraz zastępcy kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Andrzej Bartnicki i Alfred Stroka.

Dodać należy, że doroczne narady kierownictwa MNSZWiT z rektorami i aktywem partyjnym poszczególnych rodzajów uczelni stanowią ważne ogniwo w zakresie wzajemnej informacji i zarządzania uczelniami oraz dogodne forum wymiany doświadczeń między poszczególnymi ośrodkami akademickimi i uczelniami.

DNI KULTURY POLSKIEJ W ZWIĄZKU RADZIECKIM

OD MURMAŃSKA PO WŁADYWOSTOK



Mieszkańcy Moskwy na wystawie malarstwa polskiego

Fot. CAF — Sokółowska

Towarzyszy im hasło: „35 lat PRL — przyjaźń, jedność, braterstwo z narodem radzieckim”. Są najszerzą i najbogatszą prezentacją naszego 35-letniego dorobku w dziedzinie sztuki w Kraju Rad.

Dni Kultury Polskiej w ZSRR — to dziesięciodniowy wielki festiwal naszej sztuki w ponad stu różnych miastach Związku Radzieckiego. W Brześciu i Murmańsku, Jałcie i Woroneżu, Tbilisi i Władywostoku.

Nie jest, oczywiście, dziełem przypadku, że owa bogata prezentacja polskiej sztuki w ZSRR, zainaugurowana 3 kwietnia, zbiega się z dwoma ważnymi wydarzeniami: 34 rocznicą podpisania Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy między Polską a Związkiem Radzieckim oraz z X Krajowym Zjazdem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, który będzie obradował w Warszawie 21 kwietnia bieżącego roku.

Dni Kultury, otwierające w Kraju Rad obchody 35 rocznicy Polski Ludowej, są nie tylko wielkim wydarzeniem kulturalnym, ale i politycznym w życiu obu narodów. Historia i doświadczenie dowodzą, iż właśnie sztuka: muzyka, film, teatr, literatura — zbliżają kraje i narody w szczególnie znaczący i głęboki sposób. Pisaliśmy na ten temat niedawno (nr 7 „Głosu” z bieżącego roku) w artykule pt. „Dzięki Wajdzie i Czuchrajowi”, przypominając liczne fakty, ilustrujące obecność sztuki polskiej w ZSRR i radzieckiej — w Polsce.

Obchodzone właśnie Dni wzbogacają owe fakty o nowe, zabarwione szczególnymi emocjami i temperaturą, spotkania odbiorców radzieckich ze sztuką polską — na wystawach, spektaklach teatralnych, koncertach, pokazach filmowych.

W największym i najstarszym salonie wystawowym Moskwy, słynnym Maneżu

otwarto imponującą wystawę pt. „Sztuka realizmu w Polsce — tradycje i współczesność” (zgrupowano tu 250 dzieł ze zbiorów kilkunastu naszych największych muzeów), ukazującą polską sztukę od renesansu do czasów najnowszych. Arrasy wawelskie, obrazy Canaletta i Bacciarellego, dzieła Matejki i Chelmońskiego, rzeźby Dunikowskiego, Kuny, Karnego — oto, co mogą obejrzeć na tej imponującej ekspozycji radzieccy miłośnicy sztuk plastycznych.

Tam także oglądać można inną ciekawą wystawę — ekspozycję fotografii zatytułowaną „Polska — kraj i ludzie”, prezentującą współczesną Polskę — jej nowoczesny przemysł, osiągnięcia w dziedzinie nauki, szkolnictwa i kultury.

Mieszkańcy Leningradu obejrzeli ekspozycję polskiego plakatu społeczno-politycznego oraz wystawę włocławskiego fajansu; w Briańsku prezentowano ekspozycję „Kraj Rad w plakacie polskim”.

W Rostowie nad Donem polscy muzycy grali dzieła Szymanowskiego, Karłowicza i Pendereckiego, w Nowosybirsku — Moniuszki, Lutosławskiego i Bacewiczówny, w Irkucku — Szymanowskiego. Koncerty symfoniczne w wykonaniu naszych artystów odbyły się także w Charkowie, Kisłowodzku, Jałcie, Saratowie, Woroneżu, Taszkencie, Alma-Atie...

W Mińsku i Odessie zorganizowano Tydzień Polskiego Filmu. W Iwanowie, Kaliningradzie, Witebsku, a także w wielu miastach radzieckiej Litwy — festiwale zespołów ludowych i amatorskich.

A więc również z punktu widzenia zasięgu geograficznego — tegoroczne Dni nie miały do tej pory równych sobie. Choć tradycje takich, zakrojonych na szeroką skalę, imprez mamy w obu naszych krajach bogate. Przypomnijmy tylko, że poprzednie Dni Kultury Polskiej w Związku

Radzieckim obchodzono przed pięciu laty, zaś Dni Kultury Radzieckiej w Polsce zorganizowano w 1975 roku.

Podczas tegorocznej prezentacji sztuki polskiej w ZSRR najwięcej okazji do lepszego i głębszego zaznajomienia się z naszym filmem, malarstwem, literaturą — mieli, oczywiście, mieszkańcy stolicy. Właśnie w Moskwie Centralnym Domu Literatów zorganizowano reprezentatywną wystawę polskiej książki i ilustracji książkowej. Gromadzi ona ponad 3 tys. tytułów, w tym 1 tys. — pozycji beletrystycznych i 700 — z zakresu literatury społeczno-politycznej i naukowej. W Związku z obchodzoną właśnie Międzynarodowym Rokiem Dziecka — jest na niej również eksponowany obszerny, obejmujący ponad 500 tytułów, dział literatury dziecięcej i młodzieżowej.

Szczególnym zainteresowaniem mieszkańców Moskwy cieszył się koncert inauguracyjny w Kremlowskim Pałacu Zjazdów pod wymownym tytułem: „Kantata przyjaźni”. Koncert, w którym uczestniczyli: członek Biura Politycznego KC KPZR, Wiktor Griszyn i dwaj zastępcy członka Biura Politycznego KC KPZR: minister kultury ZSRR, Piotr Diemidczew i przewodniczący Rady Ministrów RFSSR, Michaił Solomienecow, zaś ze strony polskiej — zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, Jerzy Łukasiewicz oraz minister kultury i sztuki, Zygmunt Najdowski.

Koncert otwarty przez dwu kosmonautów, którzy urosli do rangi symbolu: generała-lejtenanta Piotra Klimuka i ppłk. Mirosława Hermaszewskiego, w którym — wraz z harcerzami z zespołu „Gawęda” — śpiewali i tańczyli synowie zdobywców kosmosu: 10-letni Misza Klimuk i 13-letni Marek Hermaszewski...

Ponieważ widowisko to, z blisko 700 wykonawcami, wśród których znaleźli się na-

si najwybitniejsi artyści, transmitowane było w pierwszym programie centralnej telewizji radzieckiej, oglądało je dziesiątki milionów mieszkańców Kraju Rad.

„Chcielibyśmy — mówił na kilkanaście dni przed inauguracją święta kultury polskiej w ZSRR, w wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy”, wiceminister kultury Związku Radzieckiego, Wasilij Kucharski — przede wszystkim pokazać społeczeństwu naszego kraju, że światowa sława współczesnej kultury polskiej: muzyki, plastyki, architektury, teatru i filmu ma swe głębokie uzasadnienie. A przy tym chcielibyśmy ukazać bliskie wzajemne związki naszych kultur, które kształtowały się przez stulecia, ukazać całe bogactwo tradycji polskiej kultury wtapiające się w jej nowy, socjalistyczny kształt i decydujące o narodowym charakterze współczesnej sztuki polskiej, co budzi dla niej szczególne zainteresowanie i szacunek w świecie”.

I taki właśnie charakter miały Dni Kultury Polskiej w Kraju Rad. Po wielkim koncercie inauguracyjnym — specjalna wystawianiczka „Trybuny Ludu” pisała: „Rzeczywistość przeszła oczekiwania i chyba nieczęsto się zdarza być świadkiem tak gorącego, wręcz entuzjastycznego przyjęcia spektaklu przez kilkudziesięcną widownię”.

Temperatura tego spektaklu i jego przyjęcia przez radziecką widownię, temperatura, jaka towarzyszyła dziesięciu dniom naszej kultury w ZSRR — a charakteryzuje ją także ponad 20-minutowa owacja zgromadzona w Moskwie solistom i orkiestrze Filharmonii Krakowskiej po wykonaniu „Pasji” Krzysztofa Pendereckiego — mówi same za siebie: nic tak nie zbliża narodów jak właśnie sztuka, jak język emocji, symbolu i wyobraźni, jakim się ona posługuje.

H.W.

ŚWIAT



ŚLADEM GAGARINA

Spowszedniał nam kosmos. Nieustannie niemal krąży wokół swej planety Ziemia — załogi stacji orbitalnej „Salut — 6”, wśród nich znalazł się już w ubiegłym roku Polak, Mirosław Hermaszewski. Aparaty kosmiczne mkną poza Układ Słoneczny, a ostatnio obejrzeliśmy pierwsze zdjęcia wykonane na orbicie pierwszego sztucznego satelity Ziemi — mało kto już pamięta, że w połowie kwietnia mija 18 rocznica pierwszego lotu człowieka w kosmos — Jurija Gagarina na statku „Wostok — 1”.

Tymczasem w cieniu innych ziemskich wydarzeń postępuje stały rozwój badań nad poznaniem kosmosu i wykorzystaniem lotów orbitalnych do praktycznych, codziennych celów na Ziemi. Przyszłe i osiągalne już z tego korzyści widzi się dla meteorologii, geologii, kartografii, geologii, rolnictwa, leśnictwa, gospodarki wodnej, łączności. Wokół Ziemi krąży już kilka tysięcy aparatów, pracujących lub wykorzystanych i pozostawionych swemu losowi, zanim po wejściu w atmosferę losowo ulegną spaleni. I będzie ich — w miarę postępu badań — przybywać, co mogłoby zagrażać powstaniem ponad Ziemią chaosu, gdyby zawczasu nie

przyjąć jakichś norm i zasad międzynarodowych. Na szczęście pracuje się nieustannie nad ustanowieniem takich norm, które tworzą prawo kosmiczne.

Już w 1959 r. Zgromadzenie Ogólne NZ powołało specjalistyczny organ — Komitet do Spraw Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej, z którego w 1962 r. wyodrębniono podkomitet prawny, obarczając go zadaniem przygotowania norm prawa kosmicznego. I mamy już dziś rzeczywiście ustalone pierwsze zasady działalności badawczo-eksploatacyjnej kosmosu.

Pierwszy był układ o zakazie prób broni nuklearnej w przestrzeni kosmicznej, w atmosferze i pod wodą, podpisany w Moskwie w 1963 r. W tymże roku przyjęta została rezolucja Zgromadzenia Ogólnego NZ, w której ustalono, że prawo badania i użytkowania przestrzeni kosmicznej mają wszystkie państwa, jeśli służyć to będzie dobru i interesom całej ludzkości, a komos i ciała niebieskie pozostają niezawłaszczalne. Następnie zawarte zostały umowy międzynarodowe z zakresu prawa kosmicznego. W 1967 r. układ, który oprócz zasad badań i użytkowania kosmosu wprowadzał zakaz umieszczania na orbitach okołoziemskich broni masowej zagłady oraz całkowitą demilitaryzację Księżyca i innych ciał niebieskich. W 1968 r. — umowa o ratowaniu kosmo-

nautów, powrocie kosmonautów i zwrocie obiektów wystrzelonych w przestrzeń. W 1972 r. — konwencja o międzynarodowej odpowiedzialności materialnej za szkody wyrządzone przez obiekty kosmiczne. W 1975 r. — konwencja o rejestracji obiektów kosmicznych. Przedmiotem prac Prawnego Podkomitetu Kosmicznego stały się akty w sprawie Księżyca, badania z kosmosu Ziemi i jej środowiska oraz telewizji satelitarnej.

Ta ostatnia sprawa miała się okazać przedmiotem niespodziewanego kłopotliwego sporu międzynarodowego. Chodzi o status orbity geostacjonarnej, co wiąże się z koniecznością określenia górnej granicy suwerenności państwowej. Na orbicie geostacjonarnej umieszcza się satelity komunikacyjne — obiekty pozostające na stałe w określonym miejscu w płaszczyźnie równika w odległości 36 kilometrów od Ziemi. I oto państwa równikowe: Ekwador, Gabon, Kenia, Kolumbia, Kongo, Uganda, Zair zgłosiły przed dwoma laty żądanie pełnej suwerenności nad wycinkiem przestrzeni ponad ich terytoriami. Nie są i nie będą zapewne te państwa członkami tzw. klubu kosmicznego, jednak mogłyby zażądać np. czynszu za wykorzystanie ich wycinków orbity.

Tymczasem satelitów komunikacyjnych przybywa i będzie przybywać. Pierwszy został umieszczony na orbicie przez USA w 1963 r. W 10 lat później inne państwa miały na niej 50 satelitów, a do 1980 r. — jak się przewiduje — będzie ich około 150. Szkolę w tym, że dla uniknięcia zakłóceń nie może być na tej orbicie więcej satelitów niż 180. Należałoby więc rozsądnie rozdzielić wśród wszystkich za-

interesowanych państw świata miejsce na orbicie. A właśnie państwa równikowe zgłosiły sprzeciw.

Komunikacja satelitarna jest nieunikniona i będzie miała wielkie znaczenie dla wymiany dóbr kultury, dla łączności, dla rozwoju oświaty — zwłaszcza w odniesieniu do społeczności w rejonach globu cywilizacyjnie zacofanych. W państwach arabskich, na subkontynencie indyjskim z telewizją satelitarną wiąże się wielkie nadzieje na upowszechnienie oświaty. A i my znamy korzyści stąd płynące — żeby przypomnieć transmisje telewizyjne z mistrzostw świata w piłce nożnej czy z przebiegu olimpiady. Aby jednak tę technikę można było racjonalnie wykorzystywać, muszą być ustalone i zaakceptowane odpowiednie zasady międzynarodowe, a z tym się wiąże ustalenie górnej granicy suwerenności państwowej. Może właśnie będzie nią trzydziesty szósty kilometr od Ziemi.

Problem pozostaje nie rozwiązany. Na razie — bo rozwiązany być musi. Podobnie jak i inne, które z pewnością pojawiają się w miarę badania i wykorzystywania do celów praktycznych przestrzeni wokółziemskiej. W cisyzy naukowych instytucji mnożą się projekty w tej mierze — od produkcji przemysłowej w warunkach nieważkości do przesyłania energii słonecznej na Ziemię za pośrednictwem specjalnych stacji zawieszonych na orbicie.

Idziemy śladem Gagarina, lecz to dopiero początek ery kosmicznej. I związanych z nią problemów.

WIESŁAW KODYM



RODZICE I DZIECI

Zacznijmy więc od pobieżnego choćby porównania sytuacji bytowej i ogólnych warunków życia młodych rodzin wymienionych dwóch pokoleń. Jak bowiem stwierdza w oparciu o badania — doc. Janina Maciaszkowa — warunki bytowe rodziny wpływają „na jej organizację życia, a tym samym na rozwój i zachowanie się dzieci, na ich poczucie bezpieczeństwa, umiejętność nawiązywania kontaktów, na konflikty itp.”.

Śledząc pamięcią w nie tak dawne przeciętne czasy, nietrudno przypomnieć sobie, jak to było. W miastach, młode małżeństwa w latach czterdziestych, nawet z początkiem pięćdziesiątych często męczyły się we wspólnych mieszkaniach przydzielanych przez kwaterunek kilku rodzinom. Każda dostawała po jednym pokoju, a wszystkie razem, najczęściej ku swej udręce — wspólną kuchnię.

Nie wszystkie te dzieci mogły родzić się wówczas w szpitalach, pod opieką lekarzy. A przecież warunki przyszłego na świat małego człowieka mają — jak wiadomo — ogromne znaczenie nie tylko dla jego rozwoju fizycznego. Dziś porody bez pomocy fachowej zdarzają się u nas właściwie na zasadzie wyjątku (w 1977 roku ogółem mieliśmy aż 92,9 proc. porodów kobiet miejskich i wiejskich hospitalizowanych, 6,3 proc. w izbach porodowych).

Niemowlęta urodzone po wojnie otrzymywały wprawdzie książeczki zdrowia i miały w rejonach zapewnioną opiekę zdrowotną, ale gdzie im do tych dzisiejszych, do których przeważnie już na drugi dzień po przybyciu ze szpitala przychodził do domu pielęgniarka.

A sprawa budżetu domowego i możliwości opiekowania się dzieckiem? Nietrudno stwierdzić, iż w miastach powojenne młode małżonki musiały — i to żywo — brać się do pracy zawodowej, bowiem wzmocnienie kieszy rodzinnej było po prostu niezbędne. Szczęśliwie, że po rodzice mogli skorzystać z 12-tygodniowego, płatnego urlopu, za wybranych losu uważały się te, które mogły dziecko zostawić pod opieką swych rodziców. Pozostałe oddawały maluchy do żłobka, ewentualnie dokonywały wielu zabiegów, by zapewnić kosztowną i nie najlepszą opiekę.

Dzisiejsze młode matki mają dłuższy płatny urlop macierzyński, od 1972 roku — 16-tygodniowy przy pierwszym porodzie, 18-tygodniowy przy drugim i następnym, od 1975 roku już 26-tygodniowy przy porodach wielokrotnych. Ponadto coraz częściej korzystają z urlopu bezpłatnego. W 1970 roku na urlop bezpłatny zdecydowało się — 50,4 tys. kobiet; w 1974 — 115,5 tys.; w 1975 — 219,2 tys.; a w 1977 — 352,4 tys. Jest to więc zjawisko o zasadniczym znaczeniu, tym bardziej że od 1972 roku matkom przysługuje już nie roczny, lecz trzytygodniowy bezpłatny.

To prawda, że zdecydowanie się nań wymaga od młodego małżeństwa wyrzeczeń, ograniczenia budżetu domowego. Liczna jednak — jak wynika z powyżej przytoczonych danych — grupa młodych wybiera to rozwiązanie przede wszystkim dlatego, że już wie, co znaczy dla rozwoju dziecka ów pierwszy w jego życiu okres spędzony pod bezpośrednią opieką matki. Wzrost świadomości rodzicielskiej to jedna, lecz nie jedyna przyczyna takich decyzji. Młodzi mogą je podjąć także dlatego, że — wbrew różnorodnym utyskiwaniom — znajdują się w znacznie lepszych, niż powojenne pokolenie, warunkach, a to zarówno finansowych jak i bytowych.

Wprawdzie o mieszkaniu również nie jest dziś łatwo, ale przecież więcej niż dawniej małżeństw to mieszkanie otrzymuje i przed urodzeniem się pierwszego dziecka jest wcale nieźle urządzone. Pomoc kredytowa udzielana przez zakład pracy z funduszu socjalnego sprawia, że lodówka, telewizor, pralka, nawet ta automatyczna, nie są już nieosiągalną mrzonką. Niektórym młodym, z chwilą przyjścia na świat dziecka, pomagają też rodzice.

Co więcej, uprawnienia matek decydujących się na bezpłatny urlop pozwalają podejmować w tym okresie pracę w niepełnym wymiarze, agencyjną lub wykonywaną w domach na zlecenie, co trochę podreperowuje rodzinny budżet. Tak więc choć współczesne młode rodziny borykają się jeszcze z wieloma trudnościami bytowymi, z brakiem czasu, koniecznością śpieszenia się — to jednak — są w porównaniu lepszym położeniu, niż było pokolenie ich rodziców.

Pokolenie, które startowało po wojnie, stawiało w wychowaniu przede wszystkim na zaoszczędzenie dzieciom własnych życiowych cierpień, niedoborów, na stwarzanie im — najczęściej swoimi kosztami — warunków życia możliwie najlepszych. Ze zaś w sferze materialnej nie było to proste, tendencje te wyrażały się przede wszystkim w stosunku rodziców do dziecka.

Chronicie, tolerancja, te pozytywne dążenia nie regulowane jednak były dostateczną wiedzą pedagogiczną i umiarem wychowawczym. Wyręczanie niemal we wszystkich czynnościach poza uczeniem się, tolerancja niemal bezgraniczna — to prosta droga do kształtowania samolubstwa. Znam na przykład wypadek, kiedy mała ciężko chora, nawet przed samą operacją, nie pozwalała swej 7-latec na wizytę w szpitalu, bo chciała chronić dziecko przed silnymi przeżyciami. W efekcie nieświadomości zamykała przed nim drzwi do świata własnych przeżyć i traciła kontakt wynikający z wzajemnego poznania, zrozumienia.

Nic więc dziwnego, że rozkrzyżowane nastolatki napelniały mieszkania rozdzielając uszy muzyką z nastawionego na pełny regulator adapteru, nie licząc się z pejkajacymi z bólu głowami „wapiaków”. Ze przede wszystkim żądały dla siebie, nie dając wiele w zamian. Sugestywny obraz sytuacji wychowawczej nie normowanej rodzicielskimi sankcjami dał swego czasu Jerzy Lovell w swych słynnych: „Koncercie na trąbkę”, „Koncercie na wiola d’amore” i innych ukazując „eudziomców” nie znajdujących z rodzicami wspólnego języka. Ostrzegając przed wypaczeniem ról rodzicielskich w miejskiej rodzinie współczesnej, przed brakiem konsekwencji ojców itp. itp. Obraz 16-latkę symbolicznie wygrzywającego solo na trąbce, podsumował wymownym pytaniem: „Co też to solo wyraża w języku istot jego planety? Może smutek, osamotnienie, beznadziejność? Może zwykła dziecięca tęsknota — do ufnego raju prawd prostych, gdzie ojcielec znaczy ojcielec, matka znaczy matka, a miłość znaczy miłość.”

Różnie się to kończyło, lepiej, gorzej. Nie można generalizować. Warto pamiętać jednak o tym, że to właśnie ta generacja weszła obecnie w rolę rodzicielską. Zajmijmy się więc teraz nią i młodszy mi jeszcze rocznikami rodziców.

W każdym razie doczekaliśmy się realizacji jednego z dawno przejawianych pragnień — mianowicie dążenia, by szczęście stało się głównym motywem zawiązywania młodych małżeństw. Ci młodzi rządzą się przy doborze własnymi kryteriami i o radę rodziców nie pytają. Zwykle powiadają im ich tylko o decyzji, czasami po ślubie. Czy ich związki są dzięki temu bardziej udane? — przyszłość pokaże.

Według informacji socjologów, 80 proc. młodych małżeństw decyduje się na dziecko w 1 do 3 roku trwania małżeństwa. Start w dorosłość, jakiej szczególnie domaga się rola rodzicielska, odbywa się też na zasadzie szukania własnych dróg.



Fot. Czesław Górski

W Ośrodku Badań nad Rodziną Współczesną przy ZG Towarzystwa Planowania Rodziny, mgr Elżbieta Tomza bada kształtowanie się więzi małżeńskich i rodzinnych u ponad 150 młodych małżeństw dojrzałych z różnych dzielnic Warszawy i z różnych warstw społecznych. Jakkolwiek badania są już w fazie końcowej, autorka nie może się jeszcze wypowiadać szczegółowo na ich temat. Pokazuje natomiast kwestionariusze, które wypełniali najmłodszy małżonkowie, matki i ojcowie pierwszego w rodzinie dziecka, liczącego sobie od kilku dni życia do roku.

Pytani, kto z bliskich lub znanych osób wypełnia, czy wypełniał, obowiązki rodzicielskie tak, jak oni sami chcieliby to robić — wymieniali najczęściej koleżanki, znajomych, rzadziej własną matkę lub ojca. Z innych odpowiedzi wynika jednak, że nie jest to dyktowane brakiem aprobaty dla swych rodziców, natomiast wyraźną chęcią tworzenia swoich własnych wzorców.

Pytanie: „Na czym polega miłość macierzyńska, ojcowska” — wprowadziło dużą grupę młodych w zakłopotanie. Odpowiadają, iż nie potrafią tego określić. I można by doszukać się tu braku umiejętności werbalizowania swych uczuć, lecz większość ankietowanych ostatecznie formułuje jednak „swe sądy na ten temat. Przede wszystkim więc twierdzą, iż miłość to oddanie dziecku uczuciem, stwarzanie mu warunków do rozwoju fizycznego i psychicznego.

Odpowiadają matki: „Miłość macierzyńska to przekazywanie dziecku wszystkich korzystnych cech, otoczenie dziecka ciepłem rodzinnym. Miłość ojcowska — to właściwie kształtowanie charakteru dziecka”. „Matka, kochając, powinna być dobra, cierpliwa, ale nie zaślepiona. Dziecko powinno mieć to, co trzeba, a nie to, co chce. A miłość ojcowska — to zabawa z dzieckiem, rozprawa za złe zachowanie, ale bez wprowadzania kary cielesnej”.

Odpowiadają ojcowie: „Miłość ojca? Samo to słowo określa. To znaczy danie wszystkiego, co tylko jest w nas”; „Miłość macierzyńska, tak jak ojcowska, jest to postępowanie zgodne z sumieniem”; „Najpierw trzeba trochę porobić przy tym „małym bąku”, żeby go naprawdę kochać. Miłość matki — i w.”.

Cwo literki „j.w.” pojawiały się zresztą przy określaniu uczuć macierzyńskich i ojcowskich bardzo często, przy tym znak równości między ojcem i matką nie był przez młodych traktowany wyłącznie deklaracyjnie.

Przypominam jednak, iż cytowane tu wypowiedzi to przykłady poglądów i po-

staw ludzi mających malutkie dziecko. Ciepłe, pieśczołiwe, przeważnie nie sprawiające większych zmartwień. Co dzieje się dalej? Sięgnijmy do opinii na temat wychowania przedszkola.

Janina Ganc, dyrektorka warszawskiego przedszkola, mająca na swym koncie dwadzieścia kilka lat doświadczeń pedagogicznych, zapytana, jakie obserwacje poczyniła nad rodzicami swych wychowanków, mówi przede wszystkim, że są bardziej niż ci sprzed kilkunastu laty świadomi zasad pielęgnacji dziecka i stwarzania mu dobrych warunków rozwojowych, ale... za mało cenią rolę samodzielności w życiu dziecka. Sami wkładają im ubranka, zapinają, sznurują, sami karmią. Ponadto, choć z pewnością je kochają, zbyt mało chyba okazują mu uczucia. Dzieci, gdy coś zbroją, proszą, żeby pani nie powiedziała o tym rodzicom. Boją się zwłaszcza ojców. A rodzice, zawiadomieni o ich przewinieniach, nazywają często groźbą laniem, krzyczą i to w obecności innych dzieci, co dla wielu malców stanowi dodatkową karę.

Zacytowane tu wypowiedzi przedstawicieli młodych rodziców, uwagi pedagoga, a także wypowiedzi innych rodziców i fachowców, sygnalizują kilka wyraźnie zarysowujących się problemów.

Mamy dziś generację rodziców rozczulonych, rzeczowych, dysponujących już pewną wiedzą pedagogiczną. Pokolenie ludzi, którzy wychowani dość często we względny, jak na ówczesne możliwości, miłości, dorobrych, mają wysokie aspiracje i potrzeby materialne, kulturalne jak i „rozrywkowe”. Pokolenie ludzi młodych, którzy chcą dość wygodnie żyć, korzystać w pełni z techniki, z możliwości turystycznych w kraju i za granicą.

Są sprawni i pielęgnacji matych dzieci, partnerzy w wykonywaniu tych czynności. Swym dzieciom dają dużo zabawek, różnego, dobrze dobrane, tak zwanego „rozwojowego” sprzętu. Zaspokajają ich potrzeby materialne, zdrowotne, żywieniowe. Ale — niedostatecznie przygotowują dzieci do samodzielności, pracy. Stwierdza to również doc. dr Janina Maciaszkowa w swej książce „Funkcje wychowawcze rodziny na tle jej przemian”. „Rodzice często nie wykorzystują w pełni pracy jako czynnika wychowawczego. Fakt ten uniemożliwia nabywanie umiejętności i nawyków pracy, zuboża życie emocjonalne dzieci, utrudnia współdziałanie i nie budzi motywacji niesienia pomocy innym”.

Młodzi rodzice wprowadzili w życie stosunki koleżeńskie ze swymi dziećmi. I

anów wspomniana doc. dr Maciaszkowa pisze: „...Zdaniem socjologów, w naszym kraju jest około 60 proc. rodzin partnerskich, w których, przy zachowaniu faktycznego autorytetu rodziców, stosunki z dziećmi układają się na płaszczyźnie współdziałania, a nie autokratycznego systemu poleceń i kar”. Byłoby to zjawiskiem nastrojającym bardzo optymistycznie, ale — czy w praktyce — nie zgubi się oparty na autorytecie szacunek dla rodziców? I czy to dobrze, czy źle? Myślę, że potrzebny byłby tu chyba „złoty środek”.

Młodzi rodzice nie zawsze potrafią także okazywać dziecku swe uczucia. To stwierdzenie może wprawdzie brzmieć niekonsekwentnie po podkreśleniu powyżej stosunków partnerskich, ale wbrew pozorom tak jest. Ci młodzi bronią się przed czułością. Znamy rodziny i jej problemów doc. dr M. Kozakiewicz, dr D. Trawińska, a także mgr E. Tomza stwierdzają, że młodzi rodzice darzą swe dzieci uczuciem. Sądzę jednak, że nie potrafią ich dziecku okazywać. Warto pamiętać, iż najmłodszy rodzice i ci nieco starsi — są wychowanymi owego pokolenia powojennego, które popełniło wspomniane błędy prowadzące do oddalenia, do nieumiejętności otwierania się, okazywania uczuć innym. „A czym skorupka za młodu nasiąknę...” Tymczasem dziecko łaknie jednoznacznych wyrazów miłości: owych pocałunków, pieśczoł, a także słów, że jest kochane. Bez tego może nie czuć się bezpieczne, brak mu kontaktu.

Szczególny niepokój budzić może odcinanie się młodych od starszego pokolenia. Własny wzór małżeństwa, własny wzór rodziny, metod wychowawczych itp. Bardzo dobrze, bez takich tendencji nie byłoby mowy o postępie, ale czy całkowicie odrywanie się od rodzinnych tradycji nie kryje w sobie niebezpieczeństwa? Młodzi utrzymują kontakt z rodzicami (znacznie mniej z rodzeństwem), traktują ich jednak nieco pobłażliwie i z daleka. Niektórzy oczekują od nich pomocy materialnej, pomocy przy pielęgnacji (ale już nie wychowaniu!) dzieci. Jak wskazują ankietowe wypowiedzi — rodzice nie zawodzą ich w tych oczekiwaniach, ale czy nie można się tu doszukać elementów owego egoizmu młodych? Egoizmu, który także może potem rzutować właśnie na postawy dzieci?

Żadnych problemów wychowawczych nie można traktować w oderwaniu, ciągłość bowiem tych procesów jest nieuchronna. Oczywiście, zasygnalizowane tu problemy to nie pewniki, chyba jednak stano- wią jakieś ślady, po których idąc, można by szukać środków zaradczych. Póki jeszcze czas.

Bo pomoc, mimo że rodzice w większości osiągnęli już dość dobry poziom teoretycznej wiedzy pedagogicznej — nadal jest potrzebna. Zwłaszcza w przekładaniu teorii na język codziennej praktyki. A to jest jeszcze jedną, spośród wielu innych, rolę nauczycieli. Trzeba i obecnym, i potencjalnym rodzicom — pomagać w pełnieniu zadań. Na każdym etapie. I gdy są jeszcze uczniami, i gdy przyprowadzają swe dzieci do przedszkola, do szkoły... Tylko, broń Boże, nie na zasadzie pouczeń!

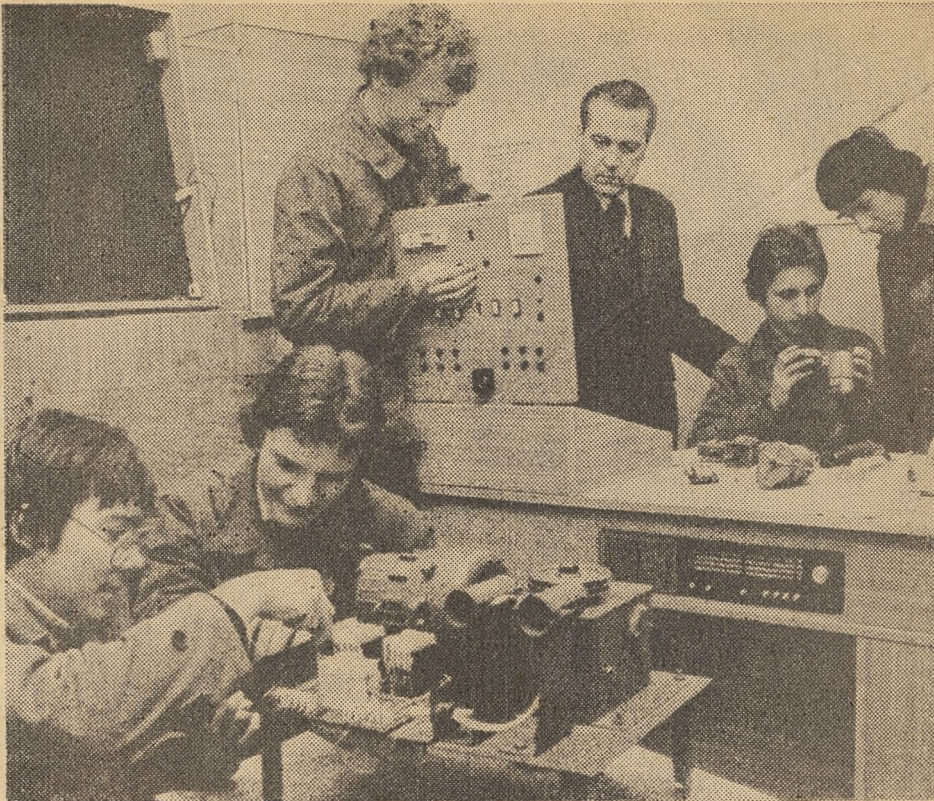
W jednym z przedszkoli, wychowawczyni, która w tym roku rozpoczęła pracę zawodową, zapytała matkę — jak ma postępować z jej dzieckiem, bo nie może sobie z nim dać rady. I jakkolwiek również młodziutka matka była owym pytaniem żywo zaskoczona, to jednak owo pozorne drobne wydarzenie było moim zdaniem, zadaniem budzącego nadzieję partnerstwa między rodzicami a pedagogami.

Oby tylko i jedni, i drudzy mieli poczucie, jak ważna jest rola rodziny w wychowaniu dziecka. Wskazuje na nią prof. J. Szczepański: „... Nie podzielałem poglądów tych pedagogów, którzy, traktując proces wychowania w rodzinie jako „wychowanie naturalne”, przyjmują świadomie lub milcząco pogląd o jego „niższości” w stosunku do wychowania w systemie szkolnym (wyluczając przedszkole). Uważam raczej, że właśnie w rodzinie zostają położone podstawy pod cały proces uświadczenia i wychowania, że tutaj rozstrzygnięta są zjawiska decydujące o przyszłych zachowaniach człowieka, że przedszkole czy szkoła nie raz nie są w stanie zmienić cech nabytych w rodzinie. Uważam także, że trwałość sposobów życia, wytworzonych w rodzinie jest znacznie silniejsza niż wielu wzorców wpajanych w szkole”.

HANNA POLSAKIEWICZ

SZKOŁY - SZKOŁOM

Prawdę mówiąc spodziewałam się, że zobaczę szkołę superno-woczesną w imponujących, funkcjonalnych budynkach, z bogatym parkiem maszynowym w szkolnych warsztatach. Sądziałam tak, bojechałam, żeby obejrzeć mające już sławę w województwie i poza nim pracownie produkowane właśnie w tej szkole. Tymczasem Zespół Szkół Zawodowych nr 6 w Częstochowie przy ul. Targowej 29 mieści się w budynkach, które wprawdzie króla Cwiczka już nie pamiętają, ale zębem czasu mocno są nadwężone. Rzeczywiście, jest to jedna z najstarszych placówek częstochowskich, lecz zapewne wcale nie ma ochoty wyglądać na tyle lat, ile ma. Tym bardziej, że jest prężna, ciekawa nowości, uczy myśleć i pracować nowocześnie.



Ich wysiłek będzie wspaniale procentował

INICJATYWA I TOR PRZESZKÓD

Trochę to nietypowa szkoła — zawodowa, techniczna, a uczniowie laury w olimpiadach filozoficznych zbierają. Oczywiście, nie tylko w filozoficznych, bo sporo tu tegich matematyków, fizyków.

Zespół obejmuje cztery szkoły: technikum pięcioletnie dla młodzieży (o różnorodności specjalnościach: takich, jak melioracja i urządzenia wodne, drogi i mosty budowlane, metrologia warsztatowa, budownictwo szerokoprotowe, czy wreszcie elektronika z nachyleniem telekomunikacyjnym); trzyletnie technikum dla absolwentów zasadniczych szkół ze specjalnością — budownictwo ogólne; Zasadniczą Szkołę Zawodową o kierunkach elektrycznych i budowlanych oraz Technikum dla Pracujących ze specjalnościami — budowa maszyn i elektroenergetyka.

Wsunie półtora tysiąca młodzieży przewija się przez ciasne pomieszczenia szkolne i warsztaty, a nauka trwa od 7.00 do 21.00 wieczorem. W tych warunkach realizuje się również bardzo cenną inicjatywę: wytworza się nowoczesne wyposażenie pracowni szkolnych.

C produkuję tej rozmawiam z dyrektorem zespołu, Stanisławem Tkaczem.

— Skąd się wzięła ta inicjatywa? Ze nasładownictwa i z konieczności. Przed laty przy Kuratorium Oświaty i Wychowania w Katowicach powstało Biuro Konstrukcyjne, którego zadaniem jest przysposobianie pracowników dydaktycznych. Kłedy Częstochowskie wchodziły jeszcze w skład województwa katowickiego, tutajte szkoły otrzymały nawet z biura „trzy pracownie. Potem staliśmy się odrębnym województwem i biuro przestało się o nas troszczyć. A baza częstochowskich szkół nie jest zbyt bogata; trzeba było znaleźć inne możliwości uzyskania nowoczesnego wyposażenia.

Wspólnie z wicekuratorem Kazimierzem Turklem zaczęliśmy się zastanawiać, czy jesteśmy w stanie we własnym zakresie podjąć produkcję pomocy na potrzeby szkół naszego województwa. Potrzeby te, jak wspominałem, są bardzo duże w przeciwieństwie do możliwości produkcyjnych, bo mamy tylko 10 warsztatów w szkołach zawodowych.

Dwa i pół roku temu powołano specjalny zespół do rozważania warunków do produkcji pracowni przedmiotowych i opracowania koncepcji technicznych rozwiązań. Dyrektor Tkacz zgłosił swojej gotowość przygotowania w swojej szkole pracowni do przedmiotów humanistycznych. No i tak powstała pierwsza. Pracowano nad nią cztery miesiące. Montowano ją właściwie trochę „na dziko”, bez dokumentacji. Była to realizacja tylko koncepcji, a dokumentacja powstała dopiero w oparciu o gotowy wytwór. Oczywiście, wprowadzono do niej następnie udoskonalenia techniczne i plastyczne.

Kiedy pracownia i dokumentacja były już gotowe, zaproszono na konsultacje nauczycieli z 14 szkół z województwa i gorliwie namawiano ich do krytycznej oceny. Ale uwag krytycznych nie było, widąc pracownia podobała się i odpowiednia wyobraźnia oglądających o nowoczesnym wyposażeniu szkolnych klas. Dalsze udoskonalanie dokumentacji odbywało się więc w oparciu o prze-myslenia producentów. Pierwsza pra-

cownia została zamontowana w podopiecznej szkole w Myszkowie. W 1976 roku wykonano jeszcze jedną, dla własnej placówki.

Pora na ich prezentację. W pracowni do przedmiotów humanistycznych znajdują się pomoce audiowizualne, które — w gruncie rzeczy — mogą być wykorzystane do nauki teoretycznej każdego przedmiotu. A więc: radio, adapter, myślnie urządzenia do prezentacji planów i map, grafoskop, rzutnik automatyczny, magnetowid, kamera filmowa z monitorami, aparat filmowy, magnetofon. Wszystko to połączone jest z pulpitem sterowniczym. Wystarczy, aby nauczyciel nacisnął odpowiedni guzik, i potrzebne urządzenie zaczyna automatycznie działać.

W rezultacie — ogromna oszczędność czasu nauczyciela i uczniów, tak pożądaną w gospodarstwie minit — na ugruntowanie wiedzy i pracę z uczniami słabszymi, oddziaływanie na niemal wszystkie zmysły młodzieży, zaznajamianie jej i obycie z nowoczesną techniką. Czy dalej wliczać?

— No dobrze, a ile to wszystko kosztuje?

— Od 300 do 350 tysięcy złotych — powiada dyrektor Tkacz. — Ale jeśli musimy dojeżdżać, żeby montować urządzenia, to trochę drożej. Oczywiście, nie każdą szkołę stać na zafundowanie sobie wszystkich aparatów i urządzeń. Można to robić stopniowo. Pulpity sterownicze przygotowane są do podłączenia wszystkiego, co potrzeba, zaczynać można od radia, telewizora, adapteru, magnetofonu, rzutnika itd.

— Wydaje mi się, że nie jest to drogo, zwłaszcza w porównaniu z pracownią choćby do wychowania obywatelskiego katowickiego Biura Konstrukcyjnego, których koszt sięga — o ile mnie pamięć nie myli — około 800 tys. złotych.

— Ale my nie mamy ani jednego „pracownia” administracyjnego, który by to wszystko organizował. U nas pracuje się społecznie.

Z Zespołu Szkół Zawodowych nr 6 następne pracownie powołały: dwie do Janowa, dwie do Poraj, jedna do nauczania początkowego do Gnaszyna, kolejna — w pełni już przystosowana do realizacji programu zreformowanej dziesięcioletniej — do Szkół Podstawowych nr 6 w Częstochowie. Nauczyciele z tych szkół zostali przeszkoleni przez „producenta” nie tylko, jak obsługiwać aparaturę, ale również, jak wykorzystywać ją na różnych przedmiotach.

Zespół Szkół Zawodowych nr 6 w Częstochowie jest wykonawcą, organizatorem i koordynatorem (społecznym!) całego przedsięwzięcia. Współpracują z nim warsztaty innych placówek, na przykład w wykonywaniu elementów meblowych — szkoły w Dobrodzienu i w Olesnie, niektórych mechanizmów — w Częstochowie.

W całą robotę zaangażowali się osiemnaście nauczycieli z zespołu. Oni czuwają nad produkcją bieżącą, pracują nad doskonaleniem dokumentacji i przygotowaniem nowej do następnych przedmiotów. Pracę młodzieży w warsztatach organizuje znakomity fachowiec — kierownik Edward Szymański. Całością kieruje dyrektor Stanisław Tkacz.

Kuratorium Oświaty i Wychowania ze swej kiesy dało szkołom środki na zakup pracowni, ale że nie jest to kasa przesadnie pękata, zwraca się o pomoc do zakładów pracy. Jako pierwsza za-fundowała dwie pracownie swoim podopiecznym szkołom huta im. B. Bie-ruta.

W ciągu niespełna trzech lat plan produkcji pracowni został potrojony, obecny przewiduje wykonanie 10 pracowni w ciągu roku. A można by wykonać ich 30, gdyby...

Właśnie, gdyby... Coraz trudniej zdobyć różne niezbędne materiały, elementy konstrukcyjne. Brakuje podstawowych drobniaków elektrycznych: przełączników, wyłączników, gniazdek, przewodów, nie do zdobycia „na rachunek” stały się ostatnio silniczki elektryczne. Dotychczas można było zakupić co nieco w innych województwach, teraz na przeszkodzie stoi rejonyzacja. „Cezas” nie jest w stanie zaspokoić potrzeb producenta na magnetowidy, projektor...

W rezultacie z powodu braku materiałów i elementów zagrożony jest plan wykonania 10 pracowni w ciągu roku. Na straty należy policzyć też czas przeznaczony na poszukiwania części do wyposażenia, a nie na produkcję. Czas, który przecież nauczyciele dobrowolnie poświęcają.

A co należy zapisać na koncie zysków? Oczywiście, rosnący szereg szkół, które wzbogaciły się o nowe i nowoczesne pracownie. Ale i coś więcej. Entuzjazm i zapał, z jakim młodzież pracuje przy wykonywaniu, przy montowaniu pracowni. To coś znacznie więcej niż odrabianie obowiązkowych praktyk warsztatowych. Uczniowie wiedzą, że wykonują coś dla innych, dla kolegów, że służą i będą z ogromnym pożytkiem. W trakcie pracy stykają się sami z nowoczesnością, uczą się jej i jednocześnie mają przekonanie, że nowoczesność tę zaszczeplają innym, że ich wysiłek będzie wspaniale procentował.

Wnioski nasuwają się chyba same. Skoro przemysł nie nadąża z produkcją nowoczesnych pomocy i wyposażenia dla szkół, ogromnie cennym wykonawcą stają się szkoły zawodowe. Niejednokrotnie apelowałyśmy do nich, aby podjęły się roli producenta pomocy dydaktycznych dla innych szkół. Jeśli tylko mają możliwości. Ba, ale czy te możliwości powinny być ograniczone pokonywaniem różnicowych niedostatków w zaopatrzeniu? Czy szkoła, która podejmuje zadanie wyposażania innych placówek oświatowych, musi potykać się na drobnych przeszkodach: braku przewodu, deski, przełącznika? Drobnych, dopóki nie urosną do rangi problemu.

A może należałoby zapewnić odpowiednią pulę podstawowych materiałów — wiadomo przecież jakich — dla szkół produkujących pomoce naukowe nie tylko dla siebie, także dla innych? Szkół tych nie mamy zbyt wiele.

ALICJA RACEWICZ



Tuż przed projekcją — w Dyskusyjnym Klubie Filmowym

Fot. Krzysztof Kąkol



Barwy, kształty i... radość tworzenia w Klubie Plastyków

Fot. Józef Podgórski

DOM PEŁEN ŻYCIA

Tuż za Wisłą, przy ulicy Brzozowej, w historycznej siedzibie Komisji Edukacji Narodowej — dziesięć lat temu został otwarty **Stołeczny Dom Kultury Nauczyciela**. Pisaliśmy o nim kilkakrotnie, jubileusz skłania jednak do podsumowań. Warto zgłębić tajemnicę powodzenia tej placówki uznanej dziś przez władze oświatowe za wzorzec godny powielania w całym kraju.

Prowadzi ją dyrektor **Stefan Celiński** który ma na swym koncie 24 lata pracy pedagogicznej, a także sporo doświadczenia w działalności klubowej. Pierwszy bowiem klub nauczycielski założył w jednej ze szkół podstawowych. Chyba on właśnie był w pewnym sensie miejscem obserwacji środowiska, jego potrzeb i reakcji na oferowane formy zajęć w wolnym czasie, poletkiem doświadczalnym, na którym zrodzić się miała koncepcja pracy przyszłego Stołecznego Domu Kultury; domu bogatego w to, czego sami ludzie pragną, otwartego, do którego można po prostu przyjść i być.

W Stołecznym Domu Kultury Nauczyciela szeroko otwarto bramę przed różnymi zapaleńcami, oddanymi jakiejś dziedzinie wiedzy czy sztuki i opanowanymi chęcią jej popularyzowania. Znaleźli więc na Brzozowej pole do działania: **Henryk Wojnarowski**, ogarnięty ideą założenia w Warszawie chóru nauczycielskiego; **Henryk Boukołowski** — aktor i reżyser marzący o własnym nietypowym teatrze; **Andrzej Wróblewski** — „Ibis”, dziennikarz, któremu pisanie o muzyce nie odbiera zapалу do innych form jej upowszechniania; **An-**

drzej Roykiewicz rozmiłowany w popularyzowaniu wiedzy w zakresie psychologii i upowszechnianiu kultury psychologicznej; **Irena Przyłuska** przekonana, że pełną percepcję sztuki filmowej osiąga się tylko wspólnie z ludźmi równie żywo interesującymi się filmem. Oni, a także inni jeszcze entuzjaści, potrafili skupić wokół siebie grupy zainteresowanych, potrafili nadać zespołom odpowiednie kształty organizacyjne, a przede wszystkim — wciągnąć część uczestników do pracy społecznej.

Tajemnicą powodzenia Stołecznego Domu jest więc oparcie jego wewnętrzного życia na twórczej pracy zapaleńców. Dla ścisłości dodać trzeba, że nie wszyscy zakładali swe zespoły od razu na Brzozowej, niektórzy organizowali je w innych placówkach, ale przenieśli się do domu nad Wisłą, znajdując tam atmosferę najbardziej sprzyjającą ich działalności. Bywa też, że gdy któregoś z nich zabraknie — zespół się rozpadła. Na przykład Klub Marynistów działał tak długo, dopóki żył Leon Teliga. Jego osobowość przyciągała, bez niego „wiatr przestał dmuchać w żagle”. Więc liczba i rodzaj zespołów w Stołecznym Domu zmienia się; niektóre się wykruszają, inne — powstają. Każdy jednak działa według własnych ustalonych zasad organizacyjnych dostosowanych do potrzeb jego uczestników. Natomiast wszystkie mają swe samorządy, wyłonione spośród członków i będące trzonem grup.

Głośny dziś w stolicy Teatr Adekwatny przyciąga widzów w niedziele i w poniedziałki. W poniedziałki również, w sali Kominkowej, zbiera się grupa psychologów-amatorów w Klubie „Psychologia na co dzień” i tego samego dnia odbywają się w innej sali próby Chóru Nauczycielek-Seniorek. We wtorki — gromadzą się członkowie Klubu Buchenwaldu-Dory, na drugim piętrze, w sali kinowej, co dwa ty-



A oto zespół wokalny-instrumentalny

Fot. Krzysztof Kąkol

godnie członkowie Dyskusyjnego Klubu Filmowego wspólnie z prelegentem zgłębiają tajniki specjalnie dobranej filmów. W środy — dwa razy w miesiącu, mają swoje spotkania członkinie Klubu Oberlangen, po Powstaniu Warszawskim wywiezione do hitlerowskiego jenieckiego obozu kobiet, dziś pracują nad jego monografią. W tym samym dniu, raz w miesiącu, przychodzi miłośnicy ptaków z Klubu Ornitologów. W czwartki dom pełen jest sztuki, bowiem zajęcia ma Klub Nauczycieli Plastyków, a także Literatów — który notabene dopracował się ostatnio wydania tomików poezji „Poświata” oraz „Nie samą kredą”. W piątki — spotkania mają członkowie Klubu Przyjaciół Życia oraz rozkwitającego bujnie klubu Hi-fi.

To z grubsza byłoby wszystko, choć jeszcze doliczyć by trzeba spotkania Towarzystwa Polsko-Szwajcarskiego, dwóch zespołów muzycznych, chóru warszawskich nauczycieli, towarzystw regionalnych. Jest w czym wybierać.

Kierownictwo Stołecznego Domu nie ingeruje w działalność zespołów. Zostawiając im pełną swobodę, wspiera tylko radą, pomocą, dostarczaniem sprzętu, materiałów. C potrzebach mówi się podczas wspólnych spotkań, sygnalizuje się też wówczas rozmaite pomysły i uwagi.

A pieniądze na sprzęt, materiały, pomoce dla tylu grup i na całe bogate życie, Stołeczny Dom zapracowuje sam. Bowiem wszystko, o czym tu była mowa, dzieje się w godzinach popołudniowych. Wówczas też otwarta jest biblioteka, sala telewizyjna, kawiarnia, w urokliwych piwnicach — winiarnia. Przed południem zaś, a czasem też w późniejszej porze, dom i jego nieliczni etatowi pracownicy nastawieni są zgoła na inną robotę: administracyjną i zarobkową. Od samego początku bowiem — i

to też nie jest bez znaczenia dla osiągniętych efektów — **przyjęto zasadę, iż dom zarabia na siebie sam.** Wynajmuje się więc sale na konferencje, organizuje zjazdy, spotkania, zapewnia obsługę fotograficzną — i w ten sposób zdobywa dochody dla całej placówki.

Tylko w jednej trzeciej dom finansowany jest przez kuratorium; a sam musi zarobić trzy i pół miliona złotych rocznie, żeby się utrzymać. To niełatwe zadanie wykonywane jest bezbłędnie, a z zysków — korzystają właśnie zespoły. Gdyby jakaś gospodarkę realizowały i inne tego typu placówki w kraju, z pewnością mogłyby oferować swym byłalcem równie urozmaicone formy spędzania czasu wolnego.

I jeszcze jedno: do zespołów w Stołecznym Domu przyłączać się mogą nie tylko nauczyciele. **Stosuje się tu zasadę niezamykania się w kręgu profesjonalistów.** W domu nauczyciele mogą spotkać się z przedstawicielami różnych branż, aby w ten sposób wzbogacać zainteresowania, zacieśniać „międzybranżowe” kontakty towarzyskie i przyjaźnie.

Marzył się dyrektorowi Celińskiemu taki właśnie dom. Największym zaś sukcesem jest to, że się przyjął, że ludzie do niego przychodzą. A kiedy w tym roku w termometrach nisko opadła rtęć i śnieg zasypał wszystkie w mieście przejścia — Stołeczny Dom Kultury Nauczyciela na Brzozowej ani jednego dnia nie świecił pustkami. Nie wiadomo jak, ale większość stałych bywalców przychodziła w zwykłych terminach, o stałej porze — nawet w pewnym sensie zmuszając pracowników do „dotrzymania im kroku”.

H. POL.

KTO NASTĘPNY PO BYDGOSZCZY?

(Dokończenie ze str. 1)

Kurator, dr Władysław Przybylski, wszem i wobec głosił: w takim stopniu zmodernizujemy oświatę na wsi, w jakim rozwiążemy problem mieszkaniowy na tym terenie. Takie postawienie sprawy przemawiało ludziom do wyobraźni. Faktem jest, że już trzy i pół roku temu stwierdzono — w wyniku dokładnych lustracji — iż w miejscowościach do 2 tysięcy mieszkańców brakuje 624 mieszkań dla nauczycieli. Dziś potrzeby są jeszcze większe, gdyż przybyło wielu nowych ludzi w zawodzie. To, co uzyskano w tym czasie z adaptacji zwolnionych pomieszczeń szkolnych i z budownictwa indywidualnego, nie zmieniło sytuacji.

W kuratorium podjęto taką koncepcję, aby w siedzibach gmin zbudować duże bloki, liczące po 16—24 mieszkań. Ale do tego trzeba pozyskać spółdzielczość, mającą monopol inwestycyjny na budownictwo wielorodzinne, no i jakieś silne przedsiębiorstwo wykonawcze, działające na terenie gmin.

Uderzenie poszło w kilku kierunkach, a wspierał w tym kuratora Przybylskiego bydgoski Oddział Zarządu Głównego ZNP, którym kieruje doświadczony związkowiec, kol. Zygmunt Meisner. Poparł koncepcję Komitet Wojewódzki PZPR, zaakceptował ją wojewoda i po kilkumiesięcznych pertraktacjach doszło — 20 lutego bieżącego roku — do zawarcia pierwszego w kraju porozumienia w sprawie spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego dla nauczycieli uprawnionych do bezpłatnych mieszkań. Tak brzmi pełna jego nazwa, a podpisali je kuratorowi dyrektorzy następujących instytucji: Wojewódzkiego Zarządu Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego w Bydgoszczy oraz Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Na czym ono polega? Otóż Kuratorium Oświaty i Wychowania, w oparciu o potrzeby poszczególnych gmin, sporządza będzie co roku imienne listy nauczycieli oczekujących na bezpłatne mieszkania. WSM przyjmie ich w poczet członków spółdzielni, w ślad za czym kuratorium pokrywać będzie ze swego funduszu mieszkaniowego wszystkie związane z członkostwem nauczycieli koszty udziałowe i kredytowe. Takie uprawnienia daje kuratorium art. 43 Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela, w myśl którego nauczycielom zatrudnionym na wsi przysługuje bezpłatne mieszkanie.

Jest tylko jeden szkopuł, na który od razu trzeba zwrócić uwagę. Jest to kwestia natury prawnej, wynikająca z obecnego statutu spółdzielczości mieszkaniowej. Otóż nauczyciel, jako tzw. członek fizyczny spółdzielni, otrzyma bezpłatne mieszkanie, sfinansowane przez oświatę. Ale w myśl obecnych przepisów oświata nie może dysponować tym mieszkaniem, więc co będzie, jeśli nauczyciel je zwolni, opuści? A chodzi przecież o trwałe zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych pracowników oświaty w danej miejscowości, a nie doraźnie.

Sytuacja byłaby inna, gdyby to zbiorcza szkoła gminna (dyrektor) lub kuratorium (kurator) mogło zostać członkiem prawnym spółdzielni mieszkaniowej. Obecny statut dopuszcza jednak tylko możliwość członkostwa osób fizycznych.

Wydaje się, że istnieje podstawa do wniesienia poprawki do statutu, czyli wprowadzenia klauzuli w odniesieniu do zbiorczych szkół gminnych, która umożliwiłaby przyjmowanie ich w poczet członków prawnych. Podstawą tą jest art. 43 wspomnianej wyżej ustawy. Tak już jest, że życie niekiedy wyprzedza przepisy więc może Centralny Związek Spółdzielni Mieszkaniowych w Warszawie rozpatrzyłby możliwość wprowadzenia tej poprawki do swego statutu?

Na razie w Bydgoszczy wybrnięto z tego na zasadzie wzajemnego porozumienia. Otóż w przypadku zwolnienia mieszkania spółdzielczego, WSM da kuratorowi pierwszeństwo w skierowaniu na to miejsce innego uprawnionego nauczyciela.

☆

Inicjatywa bydgoskich działaczy oświatowych idzie znacznie dalej. Najważniejsze przecież, by program był realny. Z tą myślą dokonali oni następujących posu-

nień: uzyskali zgodę wojewody na utworzenie warsztatów przy Zespole Szkół Budowlanych im. J. Gagarina w Bydgoszczy i zawarli porozumienie ze Zjednoczeniem Budownictwa Rolniczego jako głównym wykonawcą budownictwa spółdzielczego na wsi.

Odpowiednie warsztaty szkolne powołał wojewoda bydgoski z dniem 1 stycznia bieżącego roku i z tą chwilą kuratorium mogło rozmawiać ze zjednoczeniem jak równy z równym, jak partner, z którym można ubić dobry interes. Otóż warsztaty, obok programu szkoleniowego, realizować będą plan produkcyjny głównie poprzez budowę mieszkań dla nauczycieli, jako podwykonawca Przedsiębiorstw Budownictwa Rolniczego, działających na terenie gmin.

W ten sposób przedsiębiorstwa te zyskują, dzięki oświacie, kilkaset dodatkowych rąk do pracy, zwłaszcza w tak deficytowych branżach, jak murarz, tynkarz, instalator sanitarny i elektryczny. Inna korzyść zjednoczenia: zapewniony stały dopływ absolwentów do jego ekip budowlanych. A dyrektorzy szkół gminnych — to już oczywiste — mieć będą mieszkania dla nauczycieli, mieszkania o standardzie miejskim i to często z nadwyżką, tak że świeżo upieczeni magistrowie zawodu nie powinni już grymasić.

Ze to wszystko nie na wodzie pisane, przekonamy się już w przyszłym roku, kiedy to na Dzień Nauczyciela oddane zostaną do użytku dwa pierwsze bloki — każdy po 18 mieszkań — w gminach Sośno i Gostycyn. Ich budowa rusza w tym roku, podpisano już umowy inwestycyjne z odpowiednimi PBR. W następnej kolejności stawiane będą bloki w Osicach, Bukowcu, Rogowie, Brusach. W sumie w 25 gminach, w każdym przypadku budowa w cyklu jednorocznym.

Piękna rzecz, do 1985 roku na całej bydgoskiej wsi problem mieszkaniowy oświaty zostanie rozwiązany. Zaś w miejscowościach, w których trzeba mniej nowych mieszkań, na przykład 6—7, a których nie da się zbudować systemem spółdzielczym, stawiać się będzie domki jednorodzinne z elementów produkowanych w Sepólnie. Zakupi je kuratorium; pierwszych sześć domków stanie już w tym roku w Złotnikach Kujawskich. To też lepsze wyjście,

niż płacić nieustannie czynsze za wynajem mieszkań u gospodarzy.

☆

A co w miastach? Wszak na ich terenie oświata nie ma obowiązku zapewniać nauczycielom mieszkań. Ale w Bydgoszczy tak nie myślą, i to od dawna. Żeby mnie to udowodnić, prezes oddziału, kol. Meisner i kurator kol. Przybylski obwołają mnie „Fiatem” po mieście. Pokazują dwa skupiska okazałych punktowców, które jeszcze nie całkiem straciły świeżość barw oraz kilka mniejszych, starszych bloków. To efekty działalności Nauczycielskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Znicza”, po której pozostały już jednak tylko szyldy na zbudowanych przez nią domach.

Gdy likwidowano ją przed trzema laty, kol. Meisner zaprosił do siedziby oddziału: prezydenta Bydgoszczy, sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR oraz dyrektora Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Uzyskał od nich przyrzeczenie, potwierdzone zresztą na piśmie, iż wszyscy nauczyciele — członkowie likwidowanej spółdzielni — w liczbie 400 osób — otrzymają mieszkania w ciągu czterech lat. Przyrzeczenie zostało w zasadzie dotrzymane — uwzględniając już tegoroczny spodziewany przydział (80 lokali). Tylko 50 członkom byłego „Znicza” przedłuży się oczekiwanie na własne klucze do 1980 roku, czyli o rok.

Inni nauczyciele otrzymują mieszkania spółdzielcze normalnym już trybem, jak każdy obywatel, przy czym jednak w ogóle okres oczekiwania na przydział jest w Bydgoszczy o parę lat krótszy niż w Warszawie czy Krakowie. Również w innych miastach tego województwa, gdzie prowadzi się budownictwo spółdzielcze, nauczyciele uzyskują sukcesywnie mieszkania, często także z dodatkowych przydziałów, w terminie przyspieszonym.

Ale jest i inna, całkiem nowa, piękna rzecz, którą zapisać trzeba na konto sukcesów bydgoskiego Oddziału ZG ZNP. Gdy kol. Zygmunt Meisner dowiedział się — a było to dwa lata temu — że w Fordonie powstać ma osiedle domków jednorodzinnych, natychmiast wystosował pismo do prezydenta miasta w sprawie działek dla nauczycieli.

Różnych innych pism, rozmów, spotkań było potem sporo, ale warto było chodząc wokół sprawy, skoro w gabinecie prezydenta miasta zapadła niedawno decyzja o budowie — trybem spółdzielczym — 350 domków, z których 130 przypadnie rodzinom nauczycielskim — pracownikom szkół wyższych, średnich i podstawowych. Tylu właśnie było chętnych. Pozostałą częścią podzielią się „Romet” i „Zachem” — czołowe bydgoskie zakłady pracy. Jak widać z tego zestawienia, nauczyciel w grodzie nad Brdą, to „firma” również wysoko notowana, co miło zauważyć.

Budowa tych domków ruszy w przyszłym roku, przy czym, kto zechce, będzie mógł również sam sobie przy tym co nieco pomajstrować. Za trzy lata pierwsze domki będą gotowe. Nie powinny kosztować droższej niż po 600—700 tys. złotych, co jednak nie takie straszne w systemie spółdzielczym. A wesprą nauczycielską kieszeń kredyty PKO, ZNP oraz pożyczki z funduszu mieszkaniowego kuratorium. Bardzo też istotne, że odpadną „fordończykom” kłopoty ze zdobywaniem materiałów budowlanych, których często brak na rynku. Znają te kłopoty ci, którzy budują domki jednorodzinne własnymi siłami.

Myślę, że zamiast komentarza do tych pięknych bydgoskich inicjatyw, mających na celu rychłe, kompleksowe rozwiązanie problemu mieszkaniowego nauczycieli w skali całego województwa, najlepsze będzie pytanie: kto następny po Bydgoszczy? Przyjedziemy, opiszemy!

HUGON BUKOWSKI



Bydgoscy nauczyciele chętnie odwiedzają swój dom

Fot. Czesław Górski

DLA WYGODY – TROCHĘ NIEWYGODY

Nasz warszawski Hotel ZNP przy Wybrzeżu Kościuszkowskim liczy sobie już dwanaście lat. W tym okresie nie przechodził remontu kapitalnego, tylko drobne naprawy bieżące i odnawianie. Wreszcie w ubiegłym roku doczekał się remontu, który właśnie jest w toku. Aby na bieżąco poinformować Czytelników o stanie robót, poprosiliśmy o rozmowę dyrektora hotelu, KAZIMIERZA SOBKOWICZA.

— Na czym polega obecny remont?

— Przez te dwanaście lat hotel widocznie się zestarzał, nie jest w pełni dostosowany do funkcji, jakie spełnia, goście skarżyli się na różne niedogodności.

— Jakież?

— Przede wszystkim na wieloosobowe, bo nawet i sześciuosobowe, pokoje w części turystycznej. W dodatku pozbawione wody i urządzeń sanitarnych. W takich warunkach trudno rzeczywiście dobrze wypocząć. Wygląd pokoi także pozostawiał już wiele do życzenia. Windy starego typu, na które trzeba było długo czekać. Poza tym hotel pozbawiony był właściwie zaplecza socjalnego, w tych warunkach praca personelu była utrudniona.

Remont ma na celu stworzenie jak najlepszych warunków wypoczynku naszym gościom.

— Jakie roboty będą wykonane?

— W części turystycznej generalna przebudowa pokoi. Pokoje będą tylko dwu- i jednoosobowe, wszystkie wyposażone w węzły sanitarne, łazienki z kabinami natryskowymi. Ponadto nastąpi zmiana oświetlenia, wykonanych zostanie szereg prac mających na celu zapewnienie ciszy, na przykład wykładzina na korytarzach. Zainstalujemy w pokojach telefony.

W części wysokościowej wymienione będą na nowoczesne windy, dokonana będzie przebudowa i nowy wystrój recepcji.

Oczywiście, zmienione będzie i wz bogaczone wyposażenie pokoi. Znikną łóżka — zastąpią je tapczany. Chcemy, żeby wnętrza były estetyczne, żeby gościom jak najwygodniej się u nas mieszkalo.

— Jak jest zaawansowanie robót?

— Trwa jeszcze etap pierwszy, czyli remont części wysokościowej. Przewidujemy, że zostanie zakończony do września bieżącego roku. Drugi etap — przebudowa i modernizacja części turystycznej — powinien być zakończony w pierwszym kwartale 1980 roku.

— W związku z remontem zmniejszyła się zapewne liczba miejsc noclegowych...

— Tak, niestety, na okres przebudowy o około 40-45 proc.

— Jak więc można zapewnić sobie nocleg w hotelu?

— Każdy członek ZNP, który chce skorzystać z zakwaterowania w naszym hotelu powinien zgłosić nam swoje życzenie co najmniej z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Wtedy będziemy w stanie powiadomić go, czy możemy zapewnić mu miejsce. Jednocześnie z góry przepraszamy, że nie wszystkich chętnych, zwłaszcza w okresie nasilenia ruchu turystycznego, będziemy mogli przyjąć. Apelujemy do kolegów o wyrozumiałość i zapewniamy, że dołożymy starań, aby w „odmłodzonym” hotelu wypoczywało im się jak najwygodniej, jak najlepiej.

Rozmawiała: A.R.

WALKA O OBLICZE IDEOLOGICZNE ZNP

Zjazd Bytomski ZNP (listopad 1945 roku) odbił się głośnym echem w opinii publicznej. Wykazał on, że wielu działaczy ZNP nie rozumiało doniosłości przemian, które zaszły w Polsce Ludowej, że w ruchu nauczycielskim poważne wpływy zdobył PSL. Dla działaczy lewicowych, członków PPR, PPS i SL, stanowiło to sygnał do wzmożenia walki o zmianę oblicza ideowego ZNP.

Krokiem zmierzającym do realizacji tego celu był Zjazd Pedagogiczny ZNP w Łodzi (14-16 lutego 1946 roku), zorganizowany wspólnie przez kierownictwo Związku i Ministerstwo Cświaty. Na zjeździe tym sformułowano i zaakceptowano nowy ideał wychowawczy polskiej szkoły, mocno związany z dokonanymi reformami społecznymi w kraju oraz z nową polityką zagraniczną, opartą na przyjaźni z ZSRR i narodami słowiańskimi.

Wielką próbą sił w kraju stało się referendum ludowe, przeprowadzone 30 czerwca 1946 roku. Warto przy tym zaznaczyć, że masy nauczycielskie nie były już w tym czasie tak zdezorientowane politycznie, jak w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu kraju.

Referendum polegało na odpowiedzi na trzy pytania: 1) Czy jesteś za zniesieniem senatu? 2) Czy chcesz utrwalenie w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki narodowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej? 3) Czy chcesz utrwalenia granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Partie bloku demokratycznego wezwały społeczeństwo do głosowania „trzy razy tak”.

ZSL — pragnąc zademonstrować swą siłę — wzywało, aby na pierwsze py-

tanie odpowiedzieć „nie”, a na dwa pozostałe „tak”. Ze stanowiskiem tym nie zgadzał się członek Rady Naczelnej ZSL i jednocześnie minister oświaty oraz honorowy prezes ZNP — Czesław Wycech, który stał na stanowisku współpracy z blokiem demokratycznym. Zarząd Główny ZNP podjął 5 czerwca 1946 roku uchwałę wzywającą wszystkich członków Związku do głosowania „trzy razy tak”.

Referendum zakończyło się zwycięstwem bloku demokratycznego, wykazało jednak, że ugrupowania reakcyjne nadal stanowią znaczną siłę. Odpowiedzi „nie” było: na pierwsze pytanie — 31,8 proc., na drugie — 22,7 proc. i na trzecie — 8,6 proc. Głosowało 85,3 proc. uprawnionych.

Dużym osiągnięciem sił demokratycznych w Związku była uchwała podjęta przez Zarząd Główny ZNP w dniu 29 sierpnia 1946 roku o przyjmowaniu do ZNP wszystkich pracowników, zarówno pedagogicznych, administracyjnych, jak i fizycznych, zatrudnionych w oświacie.

Niedługo po referendum, wczesną jesienią 1946 roku, rozpoczęła się kampania wyborcza do Sejmu Ustawodawczego. Cztery stronnictwa demokratyczne — PPR, PPS, SL i SD — postanowiły utworzyć jeden blok wyborczy. Na posiedzeniu Rady Naczelnej PSL (5-6 października 1946 roku) Czesław Wycech wystąpił z wnioskiem o przystąpienie PSL do bloku wyborczego stronnictw demokratycznych. Wniosek został jednak odrzucony zdecydowaną większością głosów. Fakt ten jednak miał dla nauczycieli ważne znaczenie: na czele grupy opozycyjnej w ZSL stanął ich honorowy prezes i minister oświaty.

21 grudnia 1946 roku Zarząd Główny ZNP podjął uchwałę w sprawie poparcia w wyborach kandydatów bloku demokratycznego i wydał odezwę wzywa-

jącą nauczycieli do aktywnego udziału w wyborach i głosowania na listę stronnictw demokratycznych. Do akcji wyborczej włączyli się działacze związkowi, również i członkowie PSL, którzy, jak na przykład kolega Wawrzyniec Dusza, kierując się uchwałą ZG ZNP, wypowiadali się za poparciem przez nauczycieli listy bloku demokratycznego. „ZNP odmaszerował do obozu przeciwnego” — musiał stwierdzić Stanisław Mikołajczyk w styczniu 1947 roku. W całym kraju zorganizowano 203 wiece nauczycielskie, w tym największy — 15 stycznia 1947 roku w Warszawie, z udziałem 3 tys. nauczycieli.

Wybory odbyły się 19 stycznia 1947 roku. Wzięło w nich udział 89,9 proc. uprawnionych do głosowania. Na ogólną liczbę 444 mandatów poselskich — blok demokratyczny uzyskał 394 mandaty, a PSL — 28 mandatów. Do Sejmu Ustawodawczego wybrano 49 nauczycieli.

W wyniku wyborów powstał nowy rząd, w którym funkcję ministra oświaty objął Stanisław Skrzyszewski. Dokonano daleko idących zmian personalnych we władzach oświatowych. Jednocześnie w kraju postępował proces konsolidacji narodu i stabilizacji władzy ludowej.

22 lutego 1947 roku Sejm uchwalił ustawę o amnestii. Skorzystało z niej ponad 60 tys. osób, które wyszły z podziemia i podjęły normalne życie i pracę. Jak ważna to była sprawa, świadczą następujące dane: w latach 1944-1947 z rąk reakcyjnego podziemia zginęło 8 tys. osób. Dochodzą do tego jeszcze straty wojska — około 3500 osób i około 1000 żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej. W dniu 28 marca 1947 roku padł od bandyckiej kuli UPA wiceminister obrony narodowej, gen. Karol Świerczewski.

Ofiarą mordów padali także nauczyciele. „Głos Nauczycielski” w numerze 8 z 1946 roku pisał: „I znów giną nauczyciele. Co jakiś czas przychodzą alarmujące wieści o bestialskich mordach, dokonywanych przez bandy zdziczałych młokosów, mianujących się narodowymi siłami zbrojnymi. Strzelają, zabijają (...) Nocą, bandą, z automatami, granatami, wyciągają bezbronnych człowieka i mordują...”

PRACA OD PODSTAW

W tych niesłychanie trudnych warunkach politycznych, na gruzach wojennych zniszczeń, trwała ciężka, znojna praca nauczycieli, władz oświatowych, organizacji związkowej — nad odbudową i rozbudową szkolnictwa i nadaniem mu demokratycznego oblicza.

Podstawowym problemem było dostarczenie szkołom odpowiedniej liczby kadr nauczycielskich. Jak wiemy, w latach wojny zginęło około 19 tys. nauczycieli. Wielu zaś z tych, którzy przeżyli wojnę, zatrudnionych zostało w radach narodowych, organizacjach politycznych, społecznych itp.

Pod naciskiem potrzeb władze oświatowe zmuszone były organizować — poza normalnymi zakładami kształcenia nauczycieli — formy uproszczonego i przyspieszonego przygotowania kadr. Były to sześciomiesięczne kursy pedagogiczne dla absolwentów liceów, gimnazjów i głównie dla kandydatów, mających ukończoną co najmniej szkołę podstawową. Tworzyli oni potężną armię niewykwalifikowanych nauczycieli w szkolnictwie. W roku szkolnym 1947/48 w całym kraju w szkołach powszechnych pracowało 25 proc. niewykwalifikowanych nauczycieli. W niektórych województwach procent ten przekraczał połowę zatrudnionych: olsztyńskie — 61 proc., białostockie — 60 proc., szczecińskie — 53 proc.

Niedoborom kadrowym towarzyszyły braki lokalowe. „Wielu szkołom brakło niezbędnych urządzeń sanitarnych: ustępów, studni, wodociągów, natrysków, szatni. Liczne były źle oświetlone, niedostatecznie przewietrzane, miały nieodpowiednią temperaturę. Klasy przepełnione ponad wszelkie normy, nauka na dwie i trzy zmiany, ciasnota pomieszczeń dopełniały reszty. Brak ubrań, obuwia, pałt i bielizny był także ważnym powodem opuszczania nauki szkolnej przez dzieci” — pisze St. Mauersberg.

W daleko przy tym trudniejszych warunkach pracowały szkoły na ziemiach zachodnich i północnych. Wszystko trzeba tu było zaczynać od nowa. Przewyciężenie tych trudności było niewątpliwie przede wszystkim zasługą nauczycieli, ich ogromnej ideowości, zaangażowania i ofiarności. Głównie też z pobudek ideowych jechali nauczyciele na ziemie odzyskane, aby uczyć polskie dzieci, repolonizować młodzież autochtoniczną, przywracać polskość tym ziemiom.

Drugim czynnikiem umożliwiającym odbudowę i rozbudowę była pomoc okazywana nauczycielom i władzom oświatowym przez terenowe władze par-

tyjne, samorządowe, wojsko i całe społeczeństwo.

Wyrazem rozumienia przez wieś roli szkoły były wiejskie szkoły średnie, które stanowiły niewątpliwie fenomen okresu pookupacyjnego. W końcu grudnia 1946 roku mieliśmy 155 wiejskich szkół ogólnokształcących (gimnazjów i liceów), w olbrzymiej większości założonych i utrzymywanych przez społeczeństwo.

Kiedy jednej z takich szkół (Gimnazjum Samorządowe w Gąbinie) groziła likwidacja z powodu niedostatecznego wyposażenia w pomoce naukowe i pomieszczenia, wybrała się do kuratora, Teofila Wojeńskiego, delegacja, aby bronić szkoły. „Panie kuratorze, ja jedno wiem, że w Polsce Ludowej szkół się nie zamyka, a szkoły się otwierają” — oświadczył przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego, piekarz, Marian Rojewski.

Wiejskie szkoły średnie odegrały wielką rolę w podnoszeniu poziomu świadomości, kultury wiejskich środowisk, wykształciły tysiące utalentowanej wartościowej młodzieży.

POZNAŃSKI ZJAZD

Po wyborach do Sejmu Ustawodawczego wzmożła się praca ideologiczna wśród nauczycielstwa. Wyrazem zachodzących zmian jest fakt, że w końcu 1947 roku na 75 tys. członków ZNP, do partii i stronnictw bloku demokratycznego należało 21 tys., tj. 28 proc. nauczycieli.

Procesy ideologicznych przeobrażeń w ruchu nauczycielskim związane były z procesami politycznymi w kraju. Słabszy siły reakcyjnego podziemia, rozpadła się PSL. Powstała PSL-lewica, na czele z Józefem Niecko i Czesławem Wycechem, która wypowiadała zdecydowaną walkę Stanisławowi Mikołajczykowi. Nie widząc dla siebie szans działania, Mikołajczyk przy pomocy ambasady amerykańskiej opuszcza kraj 21 października 1947 roku.

Od początku 1948 roku nauczycielstwo związkowe przygotowuje się do II Zjazdu Delegatów ZNP. Na zjazdach powiatowych i okręgowych wybrano 1200 delegatów, wśród których 65 proc. stanowili członkowie PPR i PPS.

II Zjazd Delegatów odbył się w dniach od 24 do 26 maja 1948 roku w Poznaniu. Wypracował nową linię polityczną Związku, przyjął nowy statut, zatwierdził nową strukturę organizacyjną ZNP. W uchwalonej rezolucji zjazd poparł politykę wewnętrzną i zagraniczną rządu, wyraził poparcie dla zapowiadzanego zjednoczenia ruchu robotniczego, wezwał nauczycielstwo do masowego udziału w walce z analfabetyzmem. „Nauczycielstwo polskie, wyrażając przekonanie, że wyniki rewolucyjnych przemian politycznych i gospodarczych mogą być utrwalone tylko przez upowszechnienie i uspołecznienie oświaty i kultury, uroczystie zapewnia, że oddawać będzie nadal tej sprawie wszystkie swe siły” — czytamy w rezolucji.

Według zgodnych ocen i opinii Zjazd Poznański stanowił ideologiczny przełom w działalności ZNP. Do Zarządu Głównego wybrano 55 osób; w tym członków PPR — 14, PPS — 15, SL — 10, PSL — 5, SD — 4, SP — 1, bezpartyjnych — 6. Przewodniczącym Zarządu Głównego ZNP został Wojciech Pokora (bezpartyjny), znany działacz nauczycielski; wiceprzewodniczącymi: Stanisław Kwiatkowski (PPS), Kazimierz Maj (PSL), Henryk Dzienisiewicz (SL). Sekretarzem generalnym ZG ZNP został Eustachy Kuroczko (PPR).

☆

Od 1 września 1948 roku dokonano zmian w strukturze organizacyjnej szkolnictwa. W związku z ogromnymi trudnościami kadrowymi i lokalowymi zrezygnowano z wprowadzenia ośmioletniej szkoły powszechnej. Na podstawie decyzji Biura Politycznego KC PPR z 1 marca 1948 roku wprowadzono system szkoły ogólnokształcącej jednastoletniej, składającej się z siedmioletniej szkoły podstawowej i czteroletniego liceum.

Na krajowej konferencji aktywów oświatowego PPR, 30 października 1948 roku, minister Stanisław Skrzyszewski, uzasadniając konieczność dokonanych zmian w strukturze organizacyjnej szkolnictwa, zaznaczył: „Nie wyrzekamy się na zawsze ani ośmioletniej szkoły podstawowej, ani dwunastoletniej szkoły średniej ogólnokształcącej. Przyszedł na to czas, ale jeszcze nie przyszedł”.

KAZIMIERZ WOJCIECHOWSKI

ZRÓDŁA:

- 1) Stanisław Mauersberg: *Reforma szkolnictwa w Polsce w latach 1944-1948*. Ossolineum 1974.
- 2) Józef Jakubowski: *Polityka PPR i PPS wobec Związku Nauczycielstwa Polskiego w latach 1944-1948*. „Z pola walki” nr 4, rocznik 1973.
- 3) Norbert Kolomejczyk, Bronisław Syzek: *Polska w latach 1944-1949*. PZWS 1971.
- 4) „Głos Nauczycielski”. Rocznik 1946-1948.



Warszawa przed referendum ludowym w 1946 roku.



Styczeń 1947 roku. Przedwyborczy pochód zorganizowany przez Związek Uczestników Walki Zbrojnej i Ligę Kobiet.

Zdjęcia: CAF

KWIECIEŃ

MIESIĄCEM PAMIĘCI

TAKIM GO

ZAPAMIĘTAŁEM



Podpis pod tą fotografią brzmi: „Cudowi Przemyśla ofiarowuję z prośbą o pamięć”.

ZGŁOSIŁ SIĘ NA GŁODOWĄ ŚMIERĆ

W związku z wezwaniem na temat: „Kto znał bohatera naszego nauczyciela?”, a więc Mariana Batko, chciałbym — jako autor „Cienia Antropoida” — zaznaczyć, iż najlepiej w tej sprawie zwrócić się o bliższe dane do Dyrekcji Muzeum Państwowego w Oświęcimiu.

Ze swej strony chciałbym tylko zaznaczyć, że ta heroiczna ofiara Batki konkretnie nie dała rezultatu, gdyż mimo zgłoszenia się w miejsce już wybranego na śmierć głodową jego ucznia, tamten wcale nie został zwolniony i zginął obaj.

Batko, zgłaszając się, wiedział, że zgłasza się na powolną, męczenną śmierć głodową, natomiast nie wiedział, czy w razie wzięcia jego zamiast tamtego, Niemcy wezmą ich obu, czy też tylko jednego.

dr ADAM KOZACZKA
Nowy Sącz

Kiedy wybuchła wojna, mój brat Marian miał trzydzieści osiem lat. Ja byłem od niego o dwa lata młodszy. Lubiliśmy się od dziecka. Pamiętam, chodziliśmy do ojca z obiadem. Był dobrym fachowcem, człowiekiem, o którym się mówi, że ma... złote ręce. Pracował jako ślusarz w Piaszowie, potem jako maszynista, młynarz w Kolbuszowej, wreszcie jako robotnik w majątku hrabiego Tyszkiewicza. Zajmował się wszystkim — ślusarka, naprawą maszyn i urządzeń, potrafił budować wozy, bryczki, karoce... W domu było biednie, ale bardzo czysto. Matka krzątała się, jak przysłowiowa mrówka, od ran do nocy, dbała o wszystkich. Zajmowała się też sadem. Mieliśmy wtedy sad — cztery morgi drzew owocowych. Ojciec wydzierzał ten sad od hrabiego. Jesienią zrywaliśmy owoce, piękne, dorodne i zawoziliśmy na targ. Było trochę dodatkowego grosza. Matka skrzętnie chowała każdą złotówkę.

— To dla was, chłopcy, na naukę...

Matka bardzo pragnęła, żebyśmy skończyli szkoły. Mówiła, ba — wręcz wbiła nam do głów zasadę — że nauka jest najważniejsza w życiu. Więc wkuwaliśmy solidnie, żeby matce wstydu nie przynieść — najpierw w czteroklasowej szkole w Kolbuszowej, a potem w gimnazjum w Mielcu. Zdaliśmy egzaminy dojrzałości. To było wtedy coś wielkiego. Święto prawdziwe. Po maturze mój brat rozpoczął studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. W dwa lata później ja także rozpocząłem studia. Zawsze pasjonowałem się matematyką, więc wybrałem tę dziedzinę wiedzy, ale na Uniwersytecie Lwowskim. Rozeszły się więc na jakiś czas nasze drogi. Spotykaliśmy się w domu rodzinnym w czasie świąt i wakacji.

☆

Gdy przyjeżdżaliśmy, w domu było zawsze wesoło, rodzinie, ale i poważnie. Często rozprawialiśmy o polityce. Rej w dyskusjach wodził ojciec. Nie należał wprawdzie do Komunistycznej Partii Polski, ale wszyscy nazywali go „czerwonym”. Któregoś dnia ojciec przyszedł do domu bardzo zdenerwowany.

— Hrabia wyrzucił mnie z pracy — powiedział, — Wykrzykiwał drań, że „bol-szewików” zatrudniać nie będzie.

Więc tak nam było — ojciec bez pracy i my, dwaj studenci. Oczywiście, pracowaliśmy na swoje utrzymanie. Gdzie się tylko dało: udzielaliśmy korepetycji, sprzątaaliśmy mieszkania. Słowem, robiło się wszystko, żeby rozpoczęte studia ukończyć. No i udało się. Brat Marian rozpoczął pracę jako nauczyciel fizyki. Uczyl w różnych szkołach, a od 1932 roku w Chorzowie. Mam nawet jego nominację. O, proszę przeczytać. Wszystko jasno napisane: „...Na podstawie art. 3 ustawy z dnia 1 lipca 1926 roku o stosunkach służbowych nauczycieli w brzmieniu rozporządzenia z dn. 3 lutego 1928 r. (Dz. U. Śl. nr 22 poz. 40) w przedmiocie stosunków służbowych nauczycieli w Województwie Śląskiem, mianuję Pana z dniem 1 września 1932 roku nauczycielem gimnazjum państwowego matematyczno-przyrodniczego w Królewskiej Hucie z uposażeniem według art. 31 ustawy uposażeniowej z dnia 9 października 1932 roku”. I podpis: (dr Grażyński — wojewoda) oraz okrągłe pieczęcie.

Cieszył się brat z tej pracy. Pojechał zaraz do dyrektora, obejrzał szkołę, wynajął trzypokojowe mieszkanie i tak związał swój los z tym miastem. W dwa lata później ja także ściągnąłem do niego. Po ukończeniu studiów rozpocząłem pracę jako

informatyk w Katowicach. Dojeżdżałem więc z Chorzowa do Katowic, codziennie.

☆

Pyta pan, jaki był mój brat. Proszę sobie obejrzeć zdjęcia. Wszystkie przechowałem. Cały album z nich wyszedł. Przyśtojny był, zawsze elegancki. Poważny. Panny za nim latały, ale jakoś niespieszno mu było do żeniactwa.

Uwielbiał turystykę górską. W czasie ferii lub wakacji wyjeżdżał do Zakopanego. Znał Tatry jak własną kieszeń. Chodził po górach całymi dniami, wspinał się na najwyższe szczyty. Wiem o tym, bo po powrocie opowiadał mi o wszystkim.

Jako nauczyciel był surowy, ale sprawiedliwy. Tę ostatnią cechę podkreślam szczególnie. Nigdy nie słyszałem, aby komuś postawił dobry stopień na wyrost. Był też bardzo wymagający, ale i koleżeński. Często przychodzili do niego uczniowie ostatnich, maturalnych klas. Szczególnie przed egzaminami dojrzałości. Przerabiał z nimi zadania, tłumaczył, wyjaśniał. Ileż godzin przesiadywał w pracowni fizycznej. Sam ją sobie urządził, według własnych pomysłów. Po niektóre maszyny, urządzenia jeździł aż do Warszawy. Myślę, że wiele tych przyrządów, które wtedy kupił, zachowało się do dziś. Muszę o to spytać córki, która uczy w tej samej szkole w Chorzowie, w której uczył przez siedem lat Marian, czyli w dzisiejszym Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego.

Był tolerancyjny. Cechował go też realizm. On wiedział, że prędzej czy później wybuchnie wojna z Niemcami. Nie godził się z ówczesną polityką władz sanacyjnych. Nie mówię tego bez pokrycia. Ileż godzin wspólnie przedyskutowaliśmy, właśnie o polityce. Był taki jak ojciec — „czerwony”, choć do żadnej partii nie należał. Zresztą, musieliśmy tacy być. Zналиśmy życie w biedzie i poniewierce, wiedzieliśmy, co to głód. Czyż mogliśmy więc mieć inne przekonania?

Marian często uczestniczył w zajęciach pozalekcyjnych. Wraz z całą młodzieżą szkoły brał udział w różnych obozach sportowych, turystycznych, ćwiczeniach wojskowych. Myśmy się już wtedy — w 1937 i 1938 roku — spodziewali najgorszego. Marian jakoś nie dowierzał butnym plakatom że „silni, zwarczi, gotowi. On wiele rzeczy przewidział, które miały się okazać najokropniejszą prawdą.

Wtedy, w pamiętnym wrześniu, kiedy do Chorzowa wtargnęły hitlerowskie bojówki, z dachów niektórych szkół, z okien i strychów szkolnych posypały się strzały. To byli harcerze. Bronili swojego miasta, swojej ojczyzny.

Hitlerowcy srogo się na nich zemścili. W ciągu następnych kilku dni aresztowali też tych wszystkich polskich nauczycieli, którzy pozostali w mieście. Lista rozstrzelanych zawiera aż 67 nazwisk. Wśród nich jest również nazwisko mojego brata — Mariana Batko. Ale on zginął później, nie w Chorzowie, lecz w Oświęcimiu. Oddał swoje życie w zamian za życie swojego ucznia. Było to 27 kwietnia 1941 roku. Tak przynajmniej wynika z hitlerowskiego zaawdomienia, które nadeszło do mojej matki.

☆

Mieszkaliśmy obaj w Krakowie. Wiem, że mój brat brał udział w tajnym nauczaniu. To były początki tej wielkiej akcji uczenia języka polskiego, historii. Brat wyszedł z domu z teczką, w której były podręczniki do fizyki i matematyki. Szedł do punktu, w którym odbywała się nauka. To było 30 stycznia 1941 roku. Nie doszedł. Został — tak przypuszczam — albo aresztowany na ulicy, albo po prostu czekali na niego w tym mieszkaniu, do którego się udał. Otrzymaliśmy wiadomość, że jest więziony na Montelupich, potem został wywieziony do Oświęcimia. Zginął

☆

Mówię o tym wszystkim dlatego, bo to mój obowiązek. Sam przez całe lata powojenne byłem nauczycielem. Teraz jestem już na emeryturze, ale działam społecznie w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krakowie. Ojciec już dawno nie żyje. Zmarła również moja matka. Córka — jak już mówiłem — jest nauczycielką, syn — elektronikiem... Dokumenty po bracie mam wszystkie, które odnalazłem. Taki on właśnie był, jak na tych zdjęciach. Takim go zapamiętałem. Czasem myślę, czy on tę śmierć wybrał dlatego, że chciał zginąć. Może oni go zniszczyli fizycznie i moralnie i po prostu nie chciał żyć w tym koszmarnie zbrodni. Ale on tak kochał życie. Oddał je w zamian za kogoś młodszego, za swojego ucznia. Myślał, że go uratuje. Ofiara była jednak daremna. Świadkowie potwierdzają, że zginęli obaj: uczeń i jego nauczyciel.

Relację KAROLA BATKO — zapisał
ZBIGNIEW PAWŁOWSKI



Marian Batko jeszcze jako uczeń gimnazjum w Mielcu (siedzi pierwszy z prawej).



Rok 1937. Na spacerze,

Zdjęcia z prywatnego archiwum K. Batko

przed META

SZARZYŻNA

Przebywałem ostatnio w Piotrkowie, mieście, które, jeśli chodzi o sport, słynie z zamiatania do gry w piłkę rączną. Dzieje się tak za sprawą kilku nauczycieli, entuzjastów tej na wskroś szkolnej dyscypliny sportowej. W szkołach w piłkę rączną grają chłopcy i dziewczęta. Dzięki wspólnym zainteresowaniom młodzieży i pedagogów klub Piotrcovia, który sprawuje patronat nad kilkoma szkołami, wprowadził do I ligi męską drużynę. Nie dziw, że uciecha piotrkowian jest wielka, bo też i na ukończeniu jest budowa hali sportowej. Piłkarze rączni zainaugurują w niej rozgrywki pierwszoligowców.

Stara to prawda, że tam, gdzie kluby współpracują ze szkołami i świadczą na rzecz uczącej się w nich młodzieży, na sukcesy nie trzeba czekać długo. Piotrcovia w drugiej lidze grała tylko dwa sezony i w rekordowym tempie awansowała o szczebel wyżej. Pytanie, czy w niej się utrzyma, na razie musi pozostać bez odpowiedzi.

Nauczyciel wychowania fizycznego, mgr Wojciech Gawliński, godzi pracę w szkole z trenowaniem pierwszoligowców. Szczyci się wieloma wychowankami, w jego zespole gra obecnie Lesław Dziuba, uczeń Technikum Budowlanego, którego odkrył i poprowadził na wyżyny właśnie Wojciech Gawliński. Dziuba, choć młody, jeszcze, dostąpił zaszczytu pasowania na reprezentanta Polski. Został włączony również do przygotowań olimpijskich. A zatem olimpijczyk!

Piszę i myślę sobie, że takich jak Dziuba utalentowanych uczniów w naszych szkołach jest jak mrówek w mrowisku. Tyle, że nie wszyscy napotykają wychowawców równie jak oni utalentowanych. Ma talent pedagogiczny nauczyciel — łatwiej mu pracować, prędzej awansują jego podopieczni. I odwrotnie.

Myliłby się ten, kto by sądził, że to jest jedyny warunek postępu w szkoleniu sportowym. Towarzyszą mu inne.

Bardzo wiele zależy od samego podejścia do młodych adeptów sportu, kontaktów na linii trener—zawodnik. Pierwszy powinien zabiegać, by zrobić dobre wrażenie na przyszłym wychowanku, liczy się tu jego kultura, sposób zachowania, styl w postępowaniu.

Nie tylko sami młodzi sportowcy, lecz również działacze podkreślają, że losy przyszłego mistrza zależą także od tego, w jakich warunkach przyjdzie mu pracować. Chodzi o istotny problem: higienę, standard urządzeń, oprawę treningu, jego sprawne przeprowadzenie i zakończenie. I co się dowiadujemy?

Młódzież coraz mniej chętnie idzie do klubu, ponieważ zastaje tam brud, styka się z dewastacją przyrządów, brakiem odpowiedzialności za mienie społeczne. Zacytuje kilka zdań z „Trybuny Ludu” (4 kwietnia br.). „Obrazek z szatni jednego z klubów: Porozbijane szafki, na podłodze walają się tenisówki różnej numeracji. Na półkach balagan: razem leżą maski i skarpety. Przepocone dresy powodują błyskawiczną korozję leżących razem szabl. Pod ścianami tzw. trampkokorki i podarte koszulki”.

Podobne publikacje ukazują się na łamach prasy z zadziwiającą regularnością. Skutków nie widać. Stan szatni, sanitariatów coraz bardziej przerażający.

Nasuwa się przypuszczenie, że z naborem młodzieży do sportu będzie coraz gorzej, jeśli taki stan urządzeń i zaplecza utrzyma się na dłuższą metę. W tej sprawie zdecydowanie wypowiedziała się dr Krysztyna Lipska, prezes stołecznego klubu AZS przy Akademii Wychowania Fizycznego. A głos zabarała nie prywatnie,

lecz na plenum Rady Sportu GKKFiS: „Nie będę zachęcała dziewcząt do uprawiania sportu, bo wiem, jak niechętnie przychodzą na treningi, po których nie mają się gdzie umyć, zastają znane sytuacje sanitarne. Wrażliwe dziewczęta od tego uciekają i boją się jakiegokolwiek styku z brudem, niechlujstwem, dewastacją.”

Warto rozważyć ten głos. W końcu wypowiedź pochodzi z ust prezesa klubu, kobiety mocno zaniepokojonej brakiem troski o wygląd obiektów sportowych, które w miarę upływu czasu ulegają wyniszczaniu i w których młodzież nie czuje się dobrze. Dodam, że AZS ma dobre doświadczenia nie tylko w pracy szkoleniowej. Szkoły, którymi ten klub się opiekuje, na ogół nie mają najmniejszych zastrzeżeń, jak nie mają ich szkoły piotrkowskie, bo w jednym i drugim przypadku o wszystkich sprawach decyduje nie to, co klub zyskuje, opiekując się uczniami wykazującymi zainteresowania sportem, lecz to, jakie z tego faktu korzyści osiąga sama młodzież.

Głos prezesa Lipskiej dotyczył sytuacji nie w jednym, dwóch klubach, mówiła ona o tym, z czym się spotyka młodzież szkolna w zdecydowanej większości różnych klubów w naszych miastach i miasteczkach.

Wiem, że lekko klubom nie jest i że wiele z nich ledwo wiąże koniec z końcem. Nie znaczy to, że na warunki, jakie tam panują, patrzeć trzeba przez palce. Lepiej robić mniej, lecz dobrze niż zbyt wiele i źle, po partacku. Partaczy nam nie brak. Kluby małe, niestety, w tym przodują. Lecz nie brak i tych znanych, wielkich, którym przydałaby się miotła do wymiecenia brudów, przydałby się tam cieśla, stolarz. Młodzi sportowcy życzliwym okiem patrzyliby na gospodarnego magazyniera, porządkowych wypełniających swe powinności, za co w końcu biorą pieniądze.

A tymczasem brudno wszędzie, smutno wszędzie. Co to będzie, gdy drzwi w klubach całkiem amurszeją, ściany sal pokryje wilgoć, a sprzęt legnie ruszony zębem czasu? Kto wówczas przyjdzie do klubu?

MIECZYSLAW BILSKI

następny, potem jeszcze inny brnęli uparcie przez gestywną słów przebytych po raz drugi, trzeci, czwarty...

Na twarzach zgnębionych słuchaczy malowała się szczera wściekłość. A była już godzina trzynasta trzydzieści pięć. I niedziela. Wybiegłe oklaski skwitowały wystąpienia dwóch ostatnich dyskutantów (też z prezydium).

Dla zwyczajnych słuchaczy czasu zabrakło, co jednak nie osłabiło ich entuzjazmu, gdy szparko opuszczała salę. Upřednio jednak wzruszony przewodniczący zdążył objawić wszem wobec, że zebranie było potrzebne i nader owocne. Hej, iza się w oku kręci!

LUDOMIR MAZELA
Gorlice



FRASZKI

ACH, TA BIUROKRACJA

Pole do popisu
wymaga podpisu.

PARADOKS

Ileż to os
ma ciepły głos!

Bogusław Wieczorek

KŁOPOT Z GŁOWĄ

Ręka rękę myje,
noga nogę wspiera.
Tylko głowa sama:
aż strach myśleć nieraz.

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

Oby nam przestał być dewizą
szerszy gest niż horyzont.

Jerzy Leszczyński

CIEMNA GŁOWA

I w złotym kasku
Nie nabierze blasku.

OBURZONY PEDANT

Pewien wielki pedant
Bardzo się oburzył:
Stwierdził, że po czystej
Też się ze lba kurzy.

Jan Gross

PORTRET

Ach, zrobić sobie zdjęcie,
o jakim się dawno marzy,
w dużym laurowym wienku
tak bardzo jest do twarzy.

EKWILIBRYSTA

Przez wszystkie szczeble
życiowej drabiny
bardzo szybko przeszedł
... z tubką wazeliny.

Leszek Kulik

CZYSTA SZTUKA

Gdy „ręka rękę myje”
jest to sztuka najczystsza,
w której jeszcze wielu
osiąga tytuł mistrza.

Wiesław Czermak

DOBRA RADA

Zapamiętaj,
Ze pokora
Zjedna ci
Wizytatora...

KŁOPOT

Wie, że kości
Są rzucone.
Brak mu danych,
W którą stronę...

Ryszard Przymus

SUUM CUIQUE

I nie dośpi, i nie doje,
byle każdy miał za swoje.

Kazimierz Gorzelok

PRZYGOTOWANIA DO SEZONU

Klub nie zmarnował
zimowej przerwy
I o sukcesach
już zarząd marzy.
Zamiast trenować
(trener zwolniony)
Kupiono kilku
znanych piłkarzy.

Eugeniusz Korkosz

PYTANIE NIERETORYCZNE

Kodeks Ucznia
młodzież już posiada...
Ale czy zawsze
przestrzega go Rada?

MYŚLI TAKIE SOBIE

Kto chciałby śmiać się ostatni, ten nigdy śmiać by się nie mógł.

Najbezpieczniej być czasem poniżej wszelkiej krytyki.

Jerzy Leszczyński

Ze stert podań wyciąga się nierzadko jeden jedyny wniosek — przeznaczyć je na makulaturę.

Można dźwigać kamień w sercu pod warunkiem, że jest szlachetny.

W źródle prawdy nie ma wody.

Józef Witkowski

Lekceważenie ciężko nas czasem doświadcza.

Obciosał sobie głowę, gdyż korona na nią nie wchodziła.

Jan Bulatowicz

I to, co przychodzi do głowy, też nieraz bokiem wychodzi.

Czasem tam, gdzie wnioski nasuwają się same, nikt nie chce do nich dochodzić.

Władysław Włodarczyk

NIEPOKOJE

ŁZA SIĘ W OKU KRĘCI!

Miało się zacząć punktualnie o dziewiątej trzydzieści, tak przynajmniej głosiło urzędowe zawiadomienie. Rozpoczęło się o dziesiątej z minutami, a więc z czterdziestominutowym opóźnieniem. Z winy organizatorów i prezydium. I ani słowa przeprosin. Fatalna akustyka sali i milczące głosniki. Mikrofonu nie zauważano. Po sakramentalnym zagajeniu długi referat zaczerpnięty z prasy. Podczas przerwy zwierzano się w małych grupkach, że temat był już znany. Od dawna. Po referacie (godzi-

na i 10 minut) rozdano uczestnikom najważniejsze (zdaniem prezydium) tezy na papierze, po czym nastąpiła 50-minutowa przerwa.

W „ożywionej” dyskusji głos zabrali przedstawiciele prezydium. Pierwszy dyskutant przez trzy kwadranse powtarzał prawdy wygłoszone przez prelegenta, jakby tamten posługiwał się najczystsza chińszczyzną. Kolejny mówca przez 30 minut rozwijał poglądy swego przedmówcy. Z kolei

